

Gdzie Kopernik zgubił swój ołówek...

Tekst: Wejciech Gielżyński • Zdjęcia: Stefan Michałowski



Warszawy. Nie mówią już o Łodzi, wobec której mieszkał Kopernik przybierają ton nieco protekcyjny. Bądź co bądź, proszę pana, traktując te sprawy w historycznym ujęciu, Łódź cóż wazy wobec Krakowa. Poznania, Warszawy czy Łowicza?...

MOŻE BY TAK CZECHOM?

Odrodzenie Łowicza ma przysię przede wszystkim z turystyki. Wypada w tym miejscu porzucić ton może nazbyt żarliwoty. Łowicz jest istotnie jednym z ostatnich ośrodków żywej jeszcze sztuki ludowej, przyciągając — bez przesady — uwagę miłośników folkloru z całego świata. Można lubić lub lekceważyć pastaki, wydumski, wycinki, lecz nie sposób zignorować faktu, o którym nasi gorale powiadają: — Tylko łowicki i my jesteśmy prawdziwie, a te inne, to przebieżki...

ŚRODEK ŚWIATA JEST W KIERNOZI. FAKT TEN, KATEGORYCZNIE PODAWANY DO WIERZENIA PRZEZ STARYCH ŁOWICZAKÓW, USZEDŁ — JAK DOTĄD — UWADZE GEOGRAFOW I ASTRONOMÓW, CZUJĘ SIĘ PRZETO W OBOWIĄZKU OZNAMIĆ GO WSZYSTKIM OBYWATELOM PRZ. ZE ZAS KIERNOZIA LEŻY W POWIECIE ŁOWICKIM, PRZETO I NA MIASTO ŁOWICZ SPADA ODBLASK ŚŁAWY.

Zreszta, Łowicz nawet bez tego ma wiele tytułów do uzasadnionej dumy. Jedynie przez karygodne niedopatrzenie któregoś z naszych kotonowanych przodków edzie Indziej mieści się stolica państwa polskiego. Każdy, kto dużej poroznawia z panem Maurycym Klimckim, najzagorzalszym z zagorzałych patriotów Łowicza, rychło nabierze przekonania, iż miastu nad Bzurą tylko fałszywy spłot historycznych wydarzeń odebrał należne miejsce wśród ośrodków metropolii świata.

Nie znaczy to bynajmniej w przesądzeniach łowiczan, iż upadek ich grodu, jego węgela w charakterze miasta zaledwie powiatowego, ma cechy nieodwołalne i permanentne. Gdyby zrealizować wszystkie plany urbanistyczne, które w skrytości ducha snują łowiczanie, mocno przybiadaby gwiazda

Ze znajomości polskiej nieuczynności prześlapania w dewizy tych dóbr, które nie są ani wegiem, ani obrabiarką, ani bekonem, obcinają sobie dywidendy bar dzieł o brotni przedsiębiorcy. Czas, a ponoc również Japończycy, masowo eksportują, słownie... „łatecki łowickie”, do kładnie według naszych prototypów skonstruowane. Miłośnicy architektury i sztuki ludowego dla nabycia albumów, demonstrujących utorki „regionu księżycowego” po-

Dokończenie na str. 3

Teraz, w czerwcu roku 1959, kiedy się patrzy na nowe bloki mieszkalne, wznoszone w Nowej Hucie — żal się czło-wiekowi robi, że nie całe miasto będzie takie słoneczne, że wiele wielkich gmachów przypochna jakieś nie smaczne klopsy architektoniczne. Ale wierzyc trzeba, że i one pod kolorowymi tynkami zmienią oblicze miasta. Mieszkańcy Nowej

Huty, cokolwiek by się o nich mogło powiedzieć, odznaczają się jednak swoimi dowcipem i obrzydliwym biurowce kombinatu obrzucili „Watykanem”, co ma zresztą swójśły posmaczek...

Obecnie wznoszone osiedla są już nowocześnie, proste, jasne, kolorowe, o wielkich oknach i balkonach, z pięknymi sklepami, w nocy pławią się w blaskach światła

większość to Indzie ze wsi, wiekszość podkarpackiej i rzeszowsko-lubelskiej, oraz z małych zapłakanych polskich miścin, gdzie nuda i te rzeczy... odnośniki czytelnik znajdzie w reportażach publikowanych na in. przez „Ogłosy”. Dlatego ich awans mierzyc należy długocieża czy wysokocieża skobu — jaki wykonali ze swoich starych sadb do nowych bloków nowego miasta, które już teraz stało się organizm, któregoż Krakowa; Kraków zaczyna zwolna dostrzegac nowy organizm, zaczyna nawet jeździć do Nowej Huty, a to do teatru, a to do kin — bardzo dużych i ładnych, a to do... „Delikatów” czy „Galinów”, podobno lepiej zapopatrzonych niż krakowskie.

Nowa Huta stała się już niejako symbolem przemian socjalistycznych, formocieża możliwości czy też zapowiedzia przyszłego życia obywateli naszego kraju. Byłoby to bardzo piękne, ale wiemy, że nie tak łatwo zrobić ze starej Łodzi nową. Wyniana ruder na nowe bloki mieszkalne trwać musi dziesiątki lat. Ale to już inny temat. Czytelnicy znają na pew-

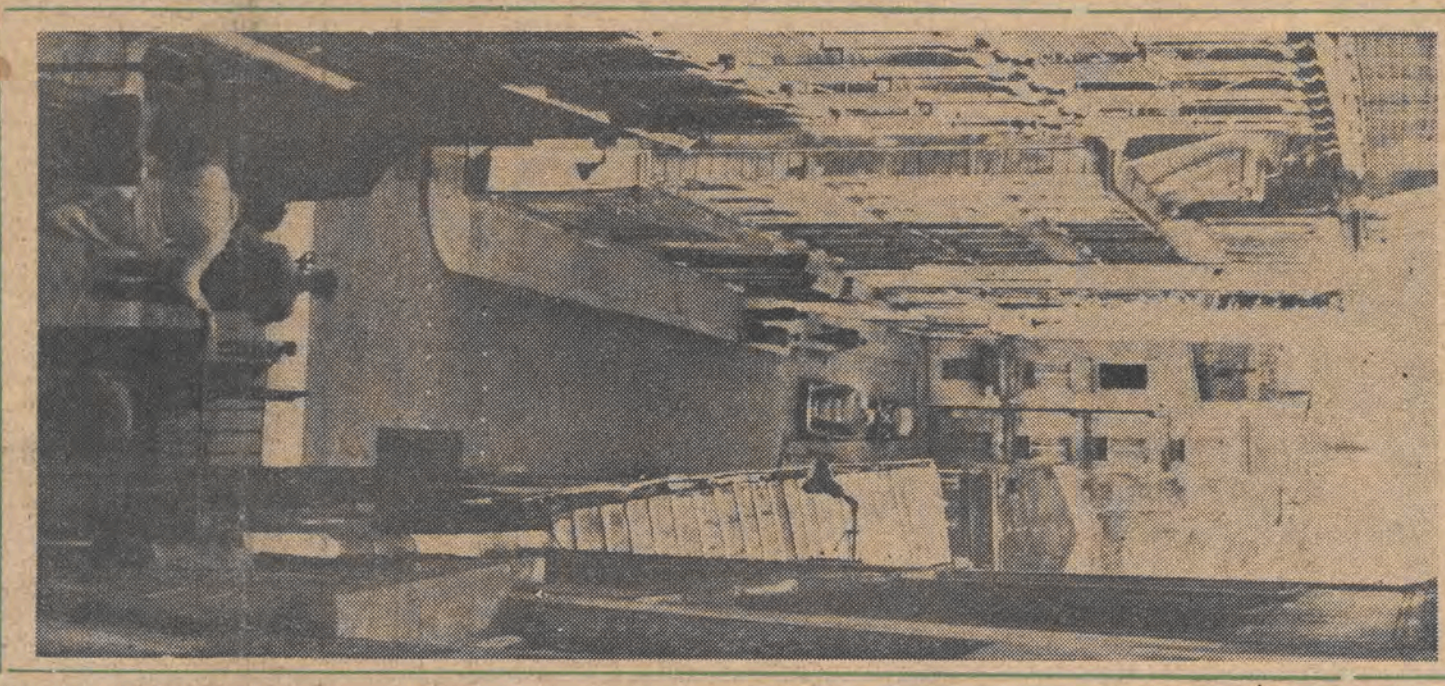
Ogłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

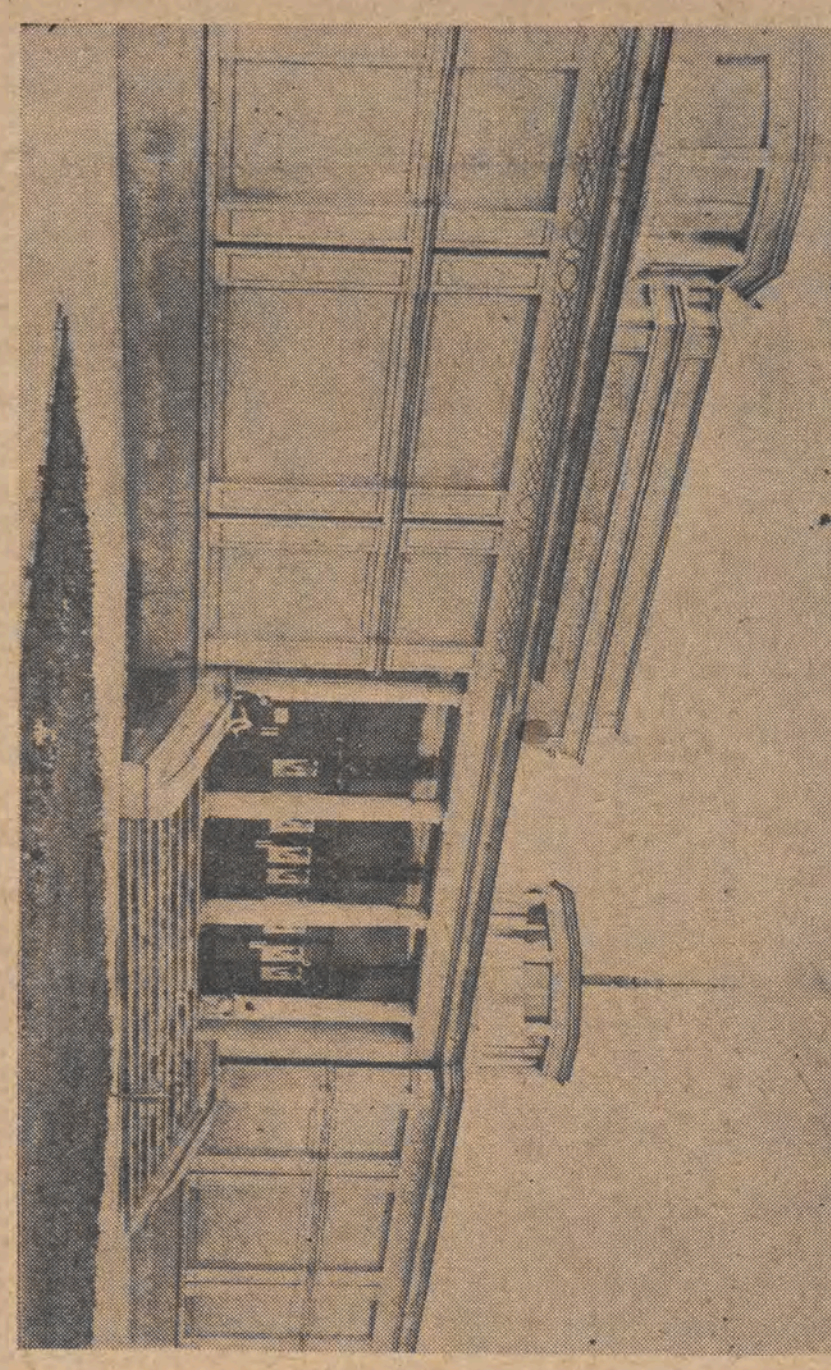
Rok II. ŁÓDŹ, dn. 21 czerwca 1959 r.

BOHDAN DROZDOWSKI

KOLOROWE MIASTO



O POLAKACH NAD SEKWANA. Piszemy na stronie 4



Teatr Ludowy w Nowej Hucie

Dalszy ciąg na str. 6

Nasza szkołka

Z czego żyją ludzie?



mie to nie zawód — to jest talent. Fosliadnie takowego talentu daje możliwość uzyskiwania zarobków wyższych lub wielokrotnie wyższych niż na posadzie. Nieosiadanie na posadzie, niezdobywanie zawodu jest tu więc kwestią dobrowolnego wyboru.

Są to w pewnych sferach jakies dziwne interesy z owoaciami, cegła lub surowcami wielokrotnie wyższymi, obalupniewem i tajnym przemysłem nakładowym. Jest to w innych sferach skupowanie drwanów i obrzawów „dla ambanesd” lub wysyłanie paczek ze starym srebrnem do Francji, za które ze swejstrami. Oplaca się cło i wszystko jest lege artis.

Zjawisko miasteczka nazwanego N. to zupełnie coś innego. N. w oczekiwaniu na „odgorną” produktiwnością rjonną dokonuje spontanicznie i w skali masowej bezinwycnej produktiwności oddolnej Ludzie z N. posiadają niezwykła w XX w. zdolność do zamieniania w produkt wszystkiego, co znajduje się pod ręką, podejmowania produkcji w tych wszystkich mikrodzielnicych, gdzie produkcja nowoczesna byłaby nieopłacalna. Uczestniczenia w cyrkulacji sam wszędzie, gdzie komórki cyrkulacji zinstytucjonalizowanej spółkaby tyloko defety.

To, że ludzie w N. jakos sobie żyją nie jest i nie powinno być elementem uspokajającym i z punktu widzenia podejmowania inwestycyjno - produktiwnościowych zamierzeń i z uwagi na to jak żyją i z tej wrascie rałcji, że produkcja N. ma niska produktiwność społeczną, że niewięc innym językiem „nie pomnaze dochodu narodowego”. Ze ma ona zaletewie zdolność minimalnego zaopiekania potrzeb konsumcyjnych samych tylko wywycowów.

Tworzą wszakże w samej istocie „ekonomiki” miasteczka N. pewien walor, którego nie powinno się zaprzeczazaczawraz z dokonywaniem w takich N. produktiwnych rewolucji, unowocześniających i uspołeczniających produkcję. Walor ten — to żywiłowy talent gospodarności, zapobiegliwości, nieurautanania zlotycki.

Tak się dzieje, że automatyzmnie znikają te cnoty wraz ze zmiąną systemu, produktiwności, wraz z jej uspołecznieniem.

I potem powstają PZGS-y podobne artystycznemu (ze sięcęgę do pierwszego z brzegu miasteczka), gdzie tylko silana zakładu, gdzie tylko silana znanowano za cwierte milionu zlotych, albo zakłady gastroonomiczne, podobne tym jódzkiem, które to przyniosły roczny dochód 800 tysięcy zlotych, z czego połowa — to suma uzyskana ze sprzedazysty, butelka po wodcie (ze sięcęgę po przykład drugi z brzegu).

Adaptacja ekonomicznych talentów miasteczeków różnych N. dla potrzeb socjalistycznej gospodarki jest sznuką, której dotyczczas nikt nie dokonaj.

Nie potrafię powieździeć, co robić, aby taki hokus-pokus pokazać. W każdym razie sądzę, że rzecz godna jest zadumy i podjęcia tu pewnych prób. Czas, żeby plany ekonomiczne zawieraly w sobie elementy natury pedagogicznej, żeby leczyły się nie tylko ze zdolnościami produktiwnymi rzeczy, ale i ludzi, aby nie niszczyły gospodarczych talentów istniejących u nas masowo choć w skali indywidualnej a ginących w skali społecznej produktiwności i obrotu. Żeby adoptowały i wskazywały talenty, Bo chcąc je skutecznie niegospodarnie — to to jednak nie...wada.

31 LIPER



O modzie piszemy na str. 7

EDWARD SZUSTER

Postawliem poprzednio hipotezę, że mieszkanicy Łodzi dzielą się — w życiu kulturalnym — na dwie „nierówne połowy”. Chciałbym to teraz udowodnić na przykładzie.

W większości łódzkich zakładów pracy działają tzw. „kolegiportierów” — to jest dwójka „nierównych połowach”. W większej części — w bibliotekach. W dziesięciu zakładach Przemysłu Bawełnianego i Majja, Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Mickiewicza, Zakładów Przemysłu Dzielniarskiego im. Emili Piłset, Zakładów Przemysłu Włókiennego im. Kutkowskiego i Zakładów Włókienniczych im. Strzelczyka w Łodzi ubiegłym wyprodukowano 10,5 proc. ogólnu robót i 56 proc. ogólnu pracownikowy umysłowych zatrudnionych w tych zakładach. A więc znów każda para się Kłaniam hipoteza o dwóch „nierównych połowach”. Po-

pytanie: czemu to dzieje się, że ludzie przynależni do klasy, która niegdyś tak uparcie i w rezultacie zwycięsko walczyła o swobodę dostępu do wszystkich wartości wytworzonych przez ludzkość, dzisiaj nie kwapią się, by skorzystać z możliwości, jakie stanęły przed nimi otworem? Czemu członkowie klasy, której dążenia są najbardziej wielkimi dziełami kultury i sztuki, sami nie biorą udziału w życiu kulturalnym? A Zespół Hartmana? — Zapyta ktoś. Przecież o sukcesach tego zespołu we „Francji” pisał wszystkie łódzkie gazety; jak można mówić, iż robotnicy Łodzi nie biorą

KTO WINIEN?

udziału w życiu kulturalnym? twierdzają, jak sądzę, moje kulturalnie o owych „drugich nieobecnym” w życiu kulturalnym naszego miasta. Ostatecznie korzystanie z biblioteki przyzakładowej wy- maga tylko jednego — ochoty.

Zwaczywszy to, co zostało powiedziane, uważam, że do kłopotów „nierównych połowek” została potwierdzona po drugie — że w grupie kulturalnie biernych mieszkaników Łodzi dominują robotnicy. Rozumieniem, że twierdzenie to może się wydać szokujące dla ludzi zapobliżonych w idealny obraz klasy robotniczej, ale ponieważ nikt nie uważa nie nauczał, że kontemplacja świętych obrazków wystarczy dla poznania rzeczywistości, popatrzymy na rzeczywistość i starajmy się ją zrozumieć.

I oto przychodzi pora, by podjąć sprawę najważniejszą i spróbować odpowiedzieć na

ważny ich brak. Zespół Hartmana ocenił z tego pogromu i chwala mu, ale nie zmienia to wcale mojego poglądu na sprawę aktywności kulturalnej łódzkich robotników. Po- sunę się nawet dalej w swym zuchwalistwie i powiem, że — udział łódzkich robotników w życiu kulturalnym miasta nie może przedstawiać się inaczej niż się w rzeczywistości przedstawia.

Dlaczego? Przecież wyrażają, ale na początku przypominaj kilka liczb. We wszystkich wymienionych już do- tychczas zakładach z dodatkiem Zakładów Przemysłu Jedwabniczego im. Wróblew-

skiego pracuje razem 26,089 Rzeszywiście. Wszyscyich nas 13,604 nie ukonczyło szkoly powszechnej — przeszło połowa. To pierwsze. Następnie proces zapamiętanie liczbę 36,5 proc. Otóż, tylko 36,5 proc. robotników łódzkich uważa się w Łodzi, reszta przynależna do naszego miasteczka. Słowem — zaokrąglając nieco — można stwierdzać, że na trzech robotników zamieszkałych w Łodzi, dwóch jest łódzianami zgoła świeżego autoramentu. To drugie. Zwrotowy uwaga na te dwa statystycznie stwierdzone fakty, wyjaśnienia przystąpić do wyświeślenia czemu uważam za rzecz naturalną i normalną bierność kulturalną robotników łódzkich.

A może niczego już nie trzeba wyjaśniać? Każdy rozsądny człowiek wie doskonale, iż o stosunku człowieka do życia kulturalnego



winni by jechać do Parva i... w Polscie nie z... hotel (może... "Orbis" urządziłby luksusowy pensjonat, za dewizy, w Arkadii lub Nieborowie), w przywołą restaurację (koniecznie znalazł mleko i karciarka z mierzlą), w kawiarnię z wielkim obrędem („Spolem” posiada rzekomo specjalne kredyty na inwestycje w miejscowościach turystycznych), wreszcie w stację obsługi samochodów i w wielki reprezentacyjny sklep z wytworami sztuki regionu. Mówi się o tym od lat paru, są już podobno plany jak się patrzy, nawet superkomfortowy „motel” na 100 osób oowym programem inwestycyjnym, lecz czas natywnyższy przekód słowa w czynów... A jak nie ma na to środków, to może by cały Łowicz z przyległościami za godzinnym egzyszeniem dzierżawnym w paćci puścić Czechom? Już oni by na tym nie stracili...

Z CZEGO ŻYJA ŁOWICZANIE?

Pytanie to, w tytule postawione tak śmiało, choćby z największym bólem rozmiarze by należało... Mistrz Galczyński, który natomiast był egocentrem Łowicza. Doktor Wegner, sława miasta, kustosz Muzeum w Nieborowie, zaliczał się do jego przyjaźni w Nieborowie powstał najpiękniejszy z pomników Konstantego Giedroycia, Janusz Kolecki, łowicki mistrz fotograficznej kamery, robił fotokopie rekopisów „Niobe” a Maurycy Klimczak szczyty się autografem Miłstrza, na jednym z pierwszych egzemplarzy „Niobe”.

Rosnie natomiast zainteresowanie Łowiczem. Nie potrzebują Amerykanów i Anglików szakę folkloru w dzunglach, stepach i puszczyach, mają go w samym sercu Europy. W samym (i w naszym kierunku) środku świata: oryginalny, żywy, kolorowy, pięknie udrapowany na łowickich dekoracjach, zupełnie jak z dzieł Łowicki. Już pod stołeczną Polską, tuż przy skrzyżowaniu przelotowej szos. W dniu otwarcia interesującego Muzeum regionalnego zjechał do Łowicza cały sznur imienników z Hierami „Z” i „OP”. Każda niemal zagraniczna wystawa indywiduacji, zalicza sobie trasę następującą: Żelazowa Wola (Chopin), Nieborów (Niobe), Arkadia (świątynia Diawy), Łowicz (oczyszczanie paszki!). Tytuł kultury w jednym, jednym dniu...

Gdy zaś nadejdzie dzień Bożego Ciąta, do Łowicza wala tłumy wprost nieprzebrane. Kolejka. Pieszo. Furmankami. Cadillacami. Z dalekimi swawolnymi, z białkami, zomami i meżami (niekiedy). Z postępnymi. Latos 25.000 luda do Łowicza zjechał. Samochodów na samych tylko parkingach zarejestrowano 700, a ulicach w dwójnasób tyle, a ci, którzy już miejsca nie znaleźli trzymali swe wozy wzdłuż szosy. Inżynier powieł, bardzo religijny, tak się pono rozmaśnił tym przegladem krajowej motoryzacji, że o procesji, celu swej podróży zapomniął, oglądając najnowszere pojazdy mechanicznych typy i modele.

Kontredans na najstarszym szczecielu

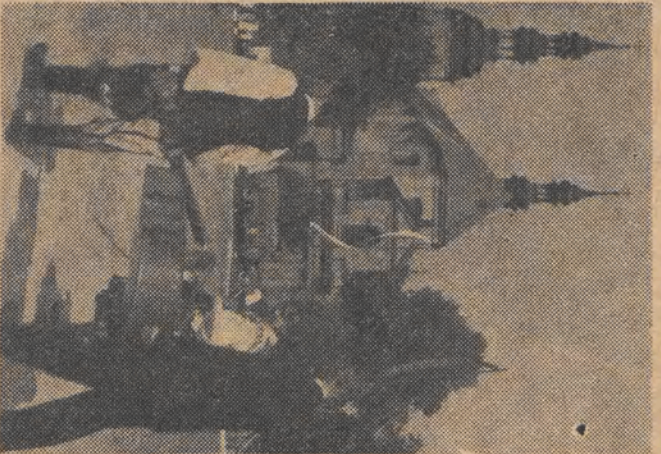
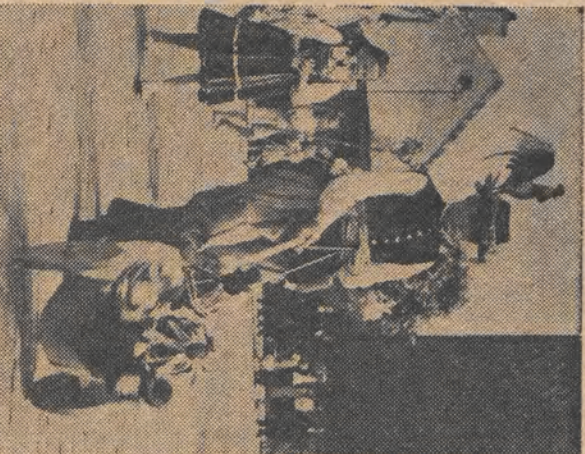
JACEK LEBEN

Niektawo odpowiedzieć na pytanie o łowickie doobdy, w każdym razie nieograniczone zarobkowanie, tak powszechne w małych miasteczkach afery gospodarcze, manka i kradzieże, tu omal nie istnieją. „Łowicz jest biedny, ale na wskroś uczciwy” — mówi nawet kierownik Wydziału Finansowego PR., który z racji stanowiska swego winien być raczej podziwiany. — „Ludzie żyją skromnie, przeważnie z dobrej pensji, chociaż wielu posiada powiązania rodzinne z bogatą rolniczą okolicą”. Przemysłu natomiast Łowicz, miasto prawie dwudziestoletnie, nie posiada. Razem miało liczy około 400 warstw, handel prywatny liczy około stu sklepów; bardzo rozbudowana jest natomiast, jak na polskie standardy, służba zdrowia — 57 lekarzy, paręset osób personelu pomocniczego! — oraz szkolnictwo; w powiecie i miejscie pracuje 600 nauczycieli, a do szkół łowickich, liceum ogólnokształcącego, pedagogicznego, handlowego, rolniczego i mechanicznego zjadła młodzież z wielu sąsiednich powiatów.

Znaczną jedynakże część mieszkańców Łowicza musi szukać pracy w sąsiednich

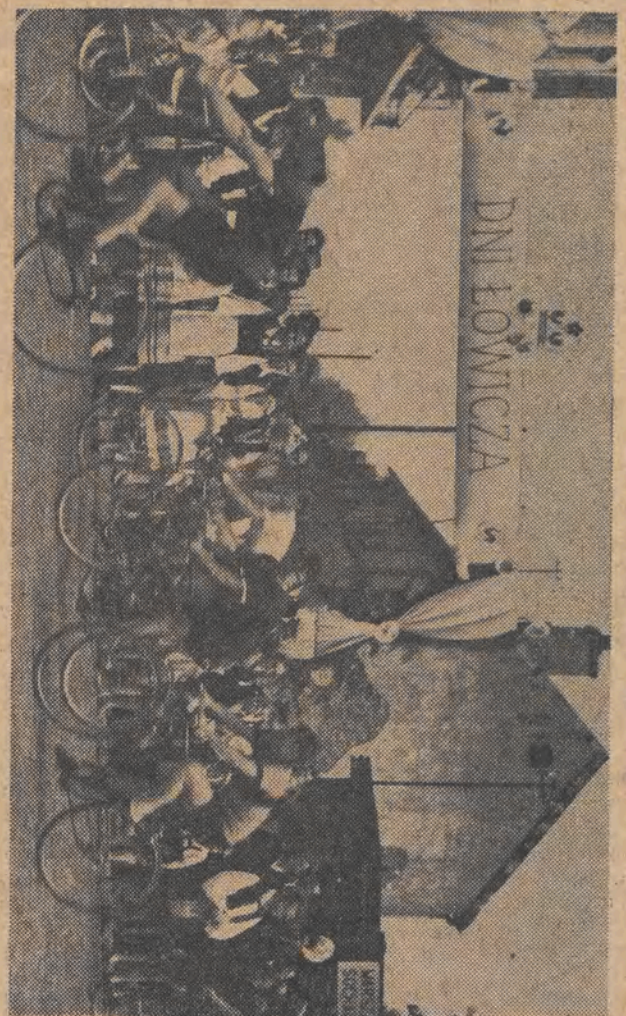
placzone gołębki same nie wpadną do miłoskiej skarbondki. Trochę by tu trzeba zamieszkać; w hotel (może „Orbis” urządziłby luksusowy pensjonat, za dewizy, w Arkadii lub Nieborowie), w przywołą restaurację (koniecznie znalazł mleko i karciarka z mierzlą), w kawiarnię z wielkim obrędem („Spolem” posiada rzekomo specjalne kredyty na inwestycje w miejscowościach turystycznych), wreszcie w stację obsługi samochodów i w wielki reprezentacyjny sklep z wytworami sztuki regionu. Mówi się o tym od lat paru, są już podobno plany jak się patrzy, nawet superkomfortowy „motel” na 100 osób oowym programem inwestycyjnym, lecz czas natywnyższy przekód słowa w czynów... A jak nie ma na to środków, to może by cały Łowicz z przyległościami za godzinnym egzyszeniem dzierżawnym w paćci puścić Czechom? Już oni by na tym nie stracili...

GDZIE KOPERNIK ZGUBIŁ SWÓJ OŁÓWEK...



wielkich miastach. Kolej sprzedaje 1500 bileków pracowników do Łodzi, 450 do Warszawy; ludzie ci tracą na dojazdy po pięć i sześć godzin dziennie. Z tego choćby względu rozwój turystyki i polepszenie jej obsługi jest dla miasta sprawą pierwszeństwa.

Lecz nawet pokazana rozbudowa urządzeń całkowicie nowych nie rozwiązuje problemu zatrudnienia; uczynie to może jedynie budowa zakładów przemysłowych. Druga wielka szansa Łowicza kryje się w rozwoju sadownictwa i ogrodnictwa, w przechodzeniu powiatu na „gospodarkę holenderską”. Pierwsze w tym kierunku idące usiłowania dały znakomite rezultaty. Wsie takie jak Bochoń i Sobota w ciągu ledwie paru lat podniosły pokaznie swój dobrobyt, dzięki prowadzonej na szeroką skalę uprawie warzyw i owoców. Już dziś powiał łowicki jest największym w kraju eksporterem cebuli, jednym z pierwszych producentów ogórków, które przedimporterów zagranicznych są częściowo przepakowywane i sprzedawane pod własną firmą. Nigdzie chyba z taką siaranością, jak w Łowiczu nie czyta się prasowych informacji o prowadzonych formacji i pokazaniach handlowych...



W roku przyszłym ruszyć ma w Łowiczu wielka prze-

Waleria Gładkówna nieprywatnie pełni swoje obowiązki nieprzerwanie od 1951 roku, co jest bodaj rekordem w skali krajowej nie mówiąc już o rektoracie pól. Na szczególną uwagę zasługują pomyślny wykorzystania tzw. „Czerwonej Góry”, zgłaszcz zburzonej w 1914 roku fabryki chemicznej, do produkcji... fabry, która ma już nawet nazwę „ochry łowickiej” aczkolwiek eksploatacja tego niezwykłego surowca — obliczona na 20—25 lat — rozpoczęła się dopiero. Koszty zysk z tej nowej galerii łowickiej wytworześci wynieśli orientacyjnie 2—3 miliony złotych.

MIASTO SYMPATYCZNE

Jeśli łowiczanie pamiętają do dziś dnia, że tu Kopernik zgubił swój ołówek, ów dzieło zaś Napoleon spędził noc w damskim towarzystwie, jeśli z prawdziwą dumą mówią o swoich łowickich rodakach — Chełmnickim, Noskowskim, Starzyńskim; jeśli z pietysmem przechowują pamiątkową listę łowicką, w której — obok przydziału Wojciechowskiego do Włocłocha Koszka, arcybiskupa Kakowskiego, ministrów Kłosa, Jaroszewicza i Szychańskiego oraz sześciu generałów radzieckich wpisali się również: Wasz korespondent; jeśli pomyślnie rozważają pod kierunkiem nieustraszonego Janusza Kotłickiego nader trudne w tak nie uprzedmiotowionym miejscu problemy mieszkaniowe, budujące coraz więcej bloków spółdzielczych; jeśli potrafią rozpoznać opowiadanie o najbardziej łowickiego i o bogactwie swego muzeum — to można chyba zarzykować pogląd, iż Łowicz jest miastem sympatycznym. Słowa więc lokalnego patriotyzmu mimo swarów nieustannie drążących środowiska intelektualne — jest najlepsza rekomendacja lepszemu czasów, które przysięga dla Łowicza.

TEKSI: WOJCIECH GIELZYNSKI. Zdjęcia: STEFAN MICHALOWSKI

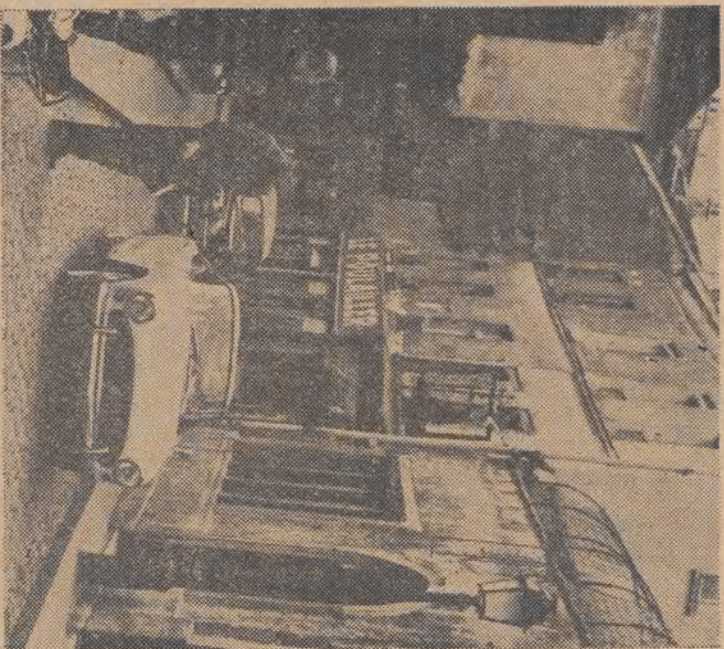
Kancelarz jest bowiem nia, że Adenauer podjął swą działalność nr 1 w NRF decyzyje po to, aby zachować wpływ na wybór przyszłego kancelerza i zdataby narzucić mu, a później kontrolować wykonanie swojej politycznej.

Adenauer zostając prezydentem wywarł decydujący wpływ na wybór przyszłego kancelerza i zdataby narzucić mu, a później kontrolować wykonanie swojej politycznej.

Adenauer zostając prezydentem wywarł decydujący wpływ na wybór przyszłego kancelerza i zdataby narzucić mu, a później kontrolować wykonanie swojej politycznej.

EDWARD
ETLER

Zdjęcia:



WŁODZIMIERZ KRYSINSKI

Nad Sekwanąq my

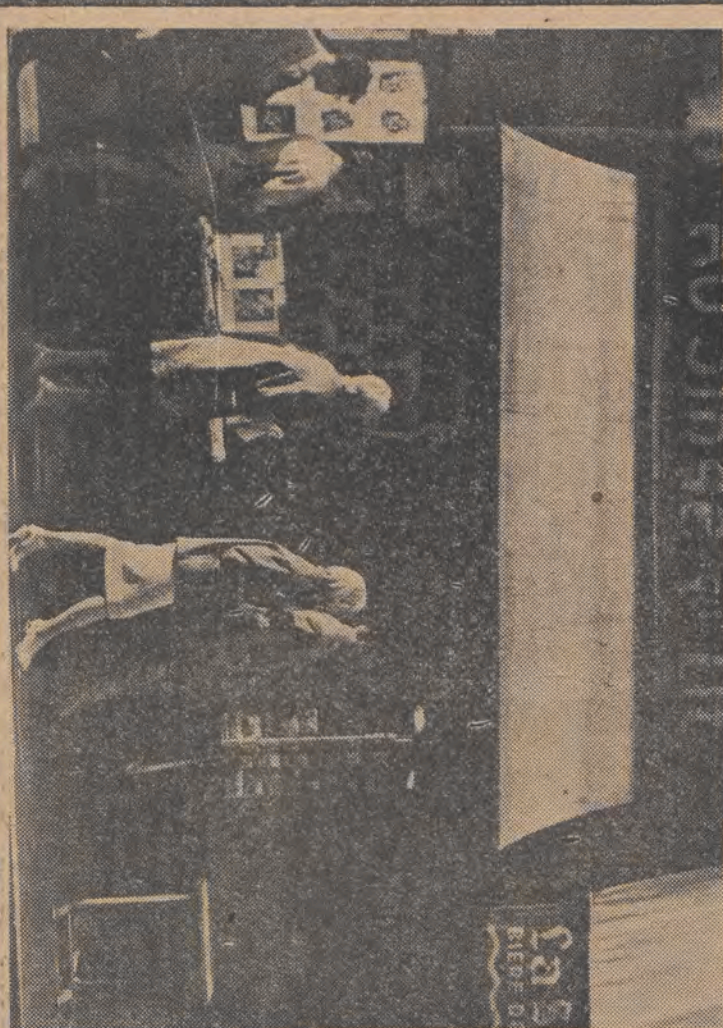
Treściego dnia po przyjeździe do Paryża spotkałem Henryka. Henryk jest tu dość długo i udaje Francuza. Pije dużo kawy i wkłada mi do dłoni swoje zachwyty nad matlarstwem Braque'a. Czasem dla kawału, kiedy szuka watek, mówi: „Jak to trzeba powieścić po polsku”? Henryk zna tutejsze plotki i ploteczki. Właśnie tego przyszedł i kto gdzie bywa. Stowem, Henryk dokonał rekonesansu możliwie najdokładniejszego.

Ale Henryka ciągnie coś do Polaków. Ja mu proponuję wysłać sztukę nowoczesnej, on mi mówi, że wie gdzie tu się schodzą młodzi Polacy. On już tam kiedyś chciał iść, ale się czuł nie-swojo, czekał więc na towarzysztwo. Umawiamy się więc i „bierzemy miarę”. Kiedy wyszliśmy przy Etoile było już dobrze ciemno. Ostrążyliśmy prawie całą plac, jakiś pułki gar-pulsjąca, świątami perspektywę Champs-Élysées, skręciliśmy w którąś z bocznych ulic, potem jeszcze w jedną i zeszliśmy w dół. Na końcu był mur i śmietnik. Na lewo — to właśnie pane i brudne. Tam gdzieś mają być Polacy. Korytarz i deski, jakiś pułki pokój z ciemną, białym garni-kiem i syplacym się tynkiem. Potem schody, równie ciemne jak stare. Gdzie więc oni są i licha? Sznaj wiatr w polu, czyli Polaka w Paryżu — mówi Henryk. Wiele znów przed dom i nos w nos. To jednak tutaj! W oczekiwaniu na „roczne podaków roznowy” medy-

huszawa Martinu, skoncentrowała się powozobna uwa-żam, że każda z tych scen-dale spektakle do 3 dzien-nie. A więc każdego dnia idą co najmniej trzy przedstawie-nia operowe przy wypełnio-salach. To jedno wystawiało by chyba do nabrania szacun-ku dla życia artystycznego naszych polubowitów sąsied-ów.

PRASKA WIOSNA

KRZYSZTOF ANTONI MAZUR



Tawet nie zamierzam sta-ć się opisać piękna i praktyczny wiosny, wiosny w mieście — muzeum, gdzie zorganizowano nietylko festiwal, jeden z najpoważniej-szych festiwali artystycznych w Europie i w każdym razie najgłośniejsza sala impreza muzyczna we wschodniej części naszego kontynentu. Organizowana od 12 lat, została sobie tradycje i znaczenie i o niej właśnie chciałbym pi-sać, bo widziałem tam wiele rzeczy ciekawych i kształca-jących.

Program Festiwalu jest zdu-miejącym popularizatorski i przedmiotowy. Niemal wszystkie porcje Festiwalu może słyszeć polski miłośnik muzyki w re-pertuarze przedmiejskiej filharmonii. Oczywiście, wśród Polaków, taki układ Festiwa-lu spowoduje pobłażliwe uśmiechnięcie. Nie sposób zapre-żać, że u nas awangarda mu-zyczna jest i normalniejsza i bardziej eksponowana i le-piej propagowana. Nie sposób zaprzeczyć, sądząc choćby po twórczości współczesnych kompozytorów czeskosłowac-kich — że dziełszsza muzyka polska ma o wiele smielsze barwniejsze nowatorskie, bardziej eksperymentalne oblicze. Od-nosiłem wrażenie, że w sio-

4 str. **Odłoty**

smunku do prądów muzycznej awangardy Czesi odnosiła się z rezerwą i pewną niechęcią. Prace jednego z cze-skich autorów muzyki XX wie-ku — przedwojennego ostród-ka muzyki ewangelicznej pod kierownictwem prof. Aloiza Haby nie są dziś kontynuowa-ne. Notując to wszystko ewo-lucyjność i obiektywizm nie byłym jednak ekonomicznie niedo-ciegnięciem „Praskiej Wiosny”. Co więcej, wydaje mi się, że reżyserzy polscy obserwa-ły zalet tej imprezy.

Wymieniam trzy praskie sceny operowe, a teraz scen-dale spektakle do 3 dzien-nie. A więc każdego dnia idą co najmniej trzy przedstawie-nia operowe przy wypełnio-salach. To jedno wystawiało by chyba do nabrania szacun-ku dla życia artystycznego naszych polubowitów sąsied-ów.

Nie wokół opery Pautera, lecz wokół światowej premie-ry opery „Mirandolina”. Bo-



GZESŁAW SADOWSKI



Przedwcześnie, w pełni sił twórczych i w pełni zapachu odziedziczonego Sadowski — artysta malarz i społecznik, dobytek kolega i prawy człowiek. Jeszcze przed kilkoma latami snuł rozległe plany na przyszłość. Jakby w przeznaczeniu dyszał smierć w ostatnich miesiącach pracował gorączkowo. Niedzielił się. Tytuł jeszcze pozostaje do zrobienia. Być może nadmierna aktywność przyspieszyła zgon. Zmęczone serce nie wytrzymało. Malarzem był z przysposobienia i z powołania. Kochał sztukę. Ucieszył się, entuzjastycznie gdy też nie umiał i nie chciał chować urazy względem kolegów: „To malarz z prawdziwego zdarzenia”, mówił. Był to akt rozstrzeżenia.

Praca twórcza była dlań radością. Ani ponurą pasją, ani koniecznością wynikającą z wewnętrznej przynusy, ale właśnie radością. Lubił sam proces powstawania dzieła. Gdy Mu czasem coś nie wychodziło, nie kryłował się, w głębi ducha wydawał się nawet rad, że jeszcze będzie miał okazję powynurzyć prób i dociekać.

Na pracę społeczną zdymał się, ale nie mógł bez niej żyć. Było to jego drugie powołanie. Nie mniej istotne. Była to także twórczość.

Jako malarz i esteta chciał przede wszystkim piękna. Nie znosił tandety, nieochlujstwa, zamszczenia. I dążył do naszego niepełnego przeżycia miłości. Ba, czuł się takim patrycją.

Kolekty, który brał udział w posiedzeniach Komisji Kultury lub byłby Rady Plastycznej, pamiętał ją jako czołową projektową upiększenia, uporządkowania miasta. Budowa galerii sztuki, pracownie plastyczne, odbudowa pomnika Kosciuszki, odswieżenie fasad Piotrkowskiej — wszystko to były jego projekty. Jego inżynieria, czyś się paraliżowana w pierwszej chwili przez tych samych, którzy podjęli ją później, by wykreślić własne zasady.

Ale nie ograniczał się do kręgu zagadnień związanego bezpośrednio czy pośrednio z plastyką. Nie ograniczał się nawet do kręgu kultury. Przekonywał, interesował się wieloma stronami życia, wszędzie szukał się dróg naprawy, tego co go bolało. To nocach notował swoje spostrzeżenia, projekty reform i ulepszeń. Miał zamiar, gdy czas pozwoli, uporządkować to i wydać. Nie zdążył.

KOŁOWE MIASTO

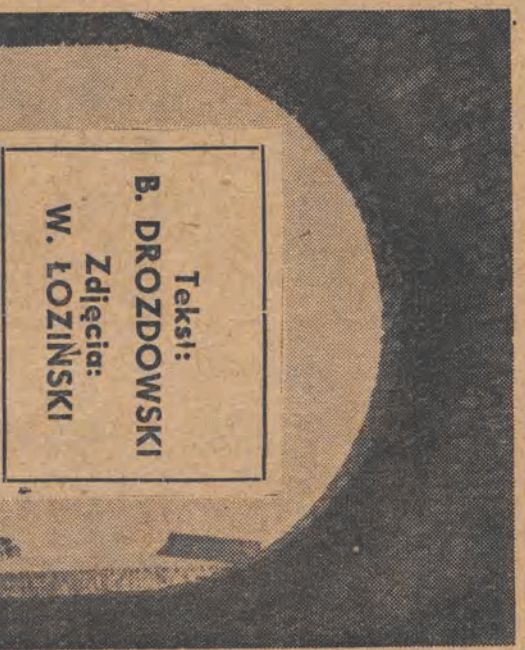
Dokończenie ze str. 1

no ze słyszenia pogaduszek na temat lokalizacji czy celowości wznieszenia kolosального kombinatu z datą od centrum węgielnego Śląska Ida, kombinatu, którego obłonność rudy żelaznej przekracza możliwości zaopatrzeniowe kraju i oliczona jest na import z ZSRR i Szwecji. Zarządy od dawna już skomponiowane przez życie — raz po raz jeszcze wyrażają przy kawiarzanych stolikach „specję” od naprawy Rzpili-ki. Tymczasem zaś kombinat produkuje już 1.400.000 ton stali, a jego nie ustająca rozbudowa doprowadzi w roku 1965 do 3.500.000 ton, to znaczy, że ta jedna fabryka fabryk produkowanych będzie więcej niż całe polskie hutnictwo przedwojenne. Jest argument? Jest.

Argumentu tego nie oblatają nawet odkrycia m. in. moje własne, że wydajność pracy robotnika Kombinatu ZSRR czy USA. Robotnik tych dwu krajów ma już za sobą długoletnie tradycje, do nowej techniki przychodził powoli, poznając coraz bardziej ulopszone maszyny. Tutaj postawiono na ogół surowego człowieka przed maszynami ślanościami, jak się to mawiało zwykła, krzyk osłabłego słowa techniki. Ten surowy człowiek nie potrafi. Ten surowy człowiek ma jeszcze w kościach hamulce innego rodzaju: brakuje mu proletariackiej ambicji i tradycji, nie jest jeszcze człowiekiem odczuwającym się kolektywem.

Ludzie Nowej Huty są na ogół bardzo osomnieni, żyć ci towarzyskie, prawie nie istnieją, życie w Kombinacie ogranicza się do odprowadzania osmiu godzin, po których pędzi się do domu. Są duże trudności w pracy politycznej, argumenty ludzi surowych są prymitywne: dajcie zarobek. Przy czym wzrosła zarobków nie odnosi się do osobistego wkładu, tylko do osłabłego człowieka, który nie potrafi zarobek w kombinacie permanentnie „wzrzenie”. Innowników.

Prawda jest, że nie tylko sama surowość materiału ludzkiego jest przyczyną niższej wydajności niż gdzie indziej, prawda jest, że nowy kombinat ma tu i ówdzie jeszcze powazne luki w organizacji pracy. Ale przecież nie ma obrad Rady Robotniczej przez szereg miesięcy. Rozmawiając powlekając się chybła i jednak nieuchronnie w warunkach „wzrostu” w bardzo się lepszej roboty, wzrasta ich wydajność i ich zarobki, i tak stosunkowo wysokie. W roku 1958 średni zarobek robotnika Stalowni wynosił 11,29 zł na godzinę a w ro-



Tekst:
B. DROZDOWSKI
Zdjęcia:
W. ŁOZINSKI

ku 1959 wynosi już 12,29 na godzinę, to znaczy wzrost o 9 procent. Taki przyrost w stosunku rocznym jest niewątpliwie powazny. W Wielkich Piecach w tym samym czasie zarobek wzrósł średnio o 8 procent.

Poprawa pracy i warunków pracy, ciągły wzrost nowych agregatów i całych nowych obiektów przemysłowych stwarza w Kombinacie permanentnie „wzrzenie”. Innowników swoje zarobki wydziałem remontowym zarabiał o połowę więcej od szlusarza przy Wielkich Piecach itp. Nowe siatki plac, regulacje, eksperymenty planowe — to był zasadniczy temat obrad Rady Robotniczej przez szereg miesięcy. Rozmawiając powlekając się chybła i jednak nieuchronnie w warunkach „wzrostu” w bardzo dosłownym znaczeniu tego słowa. Dziś zwoła następną jeżdża z okolicznych wsi i robotki idą w górę, poprawia robnika Stalowni wyposił się także organizacja pracy,



Przed szkole w Nowej Hucie

paleta

Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego pod redakcją HENRYKA ANDERSA

KUBIZM

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

Problem pokazania siatka ludów prymitywnych, Jutych, najbarziej istotywnych twórców tej rzeźby cech przedmiotu i tego, co nie chodziło o piękno dzieła o nim wie, nie był wcale, ale o silny wyraz, rzeźle nowoczesnym wyrażeniem czywiście też okazał się powikłany. Już starożytni mistrzami ekspresji. Row-Engeljanie — tak właśnie niosące jednak artystów europejskich zainteresował trzeba zacząć — rozumowa-It podobnie. Przez tysiące lat obowiązywała u nich — w malarstwie, a również w plastyce — niezmienna konwencja stworzona i stosowana w imię realizmu. Odwarżając postać ludzką głowę malowali z profilu — bo ten był charakterystyczny — ale oko pokazywali frontalnie, powiewał widok z boku nie oddaje właściwego kształtu: międziejowego wyłączenia. Z tych samych względów inny punkt widzenia przyjmowali malując tułów, inny — dła rąk i stóp.

Sztuka dwudziestego wieku nie mogła, oczywiście, akceptować starożytnej konwencji, znalazły się jednak wzory aktualniejsze i bliższe źródła podnieć.

W okresie, kiedy rodzili się kubizm, panowała moda na rzeźbę murzynską. Jak zwykle bywa ze sztu-

Niektórzy zrozumieli to do słownie. Powstał dzieki tejnej stylizacji przedmiotu, błędnie utóżniamy czasami z kubizmem.

W geometryzacji kształtu w upraszczaniu formy stylizacji, „sposobiku”, rzekoma nowoczesnością, przesłaniali własną niedolność odsta-pienia od utartych dróg w odzwierciedleniu widzialnego świata. Nie pojmowali, nie dostrzegali nawet problemu, który stał się punktem wyjścia dla rzeźbywistych twórców.

„kasa” zaczyna się także przywiązywać do zakładu, widzieć w nim przyszłość życia swolego, albo swoich dzieci. Tymczasem zaś obłonność Kombinatu maleje, nie przyjmując się już nowych robotników w takiej ilości jak dawniej, trudno tu o pracę nawet dla inżynierów. Kombinatu ma jeden z najwyższych w polskim przemyśle procent kadry inżynierskiej. Jest to bowiem nie jada atrakcja: świetne urządzenie, wysokie zarobki, bliskość kulturalnego Krakowa, Zakopanego, Śląska — słowem wymarzone warunki pracy. Inżynierowie w Kombinacie stanowią element rżniłki przeważnie młody, w ogóle przestają robotnicy tego rżniłki zatrudniającego niemal 20.000 ludzi są młodzi, wiek lat 30 stanowią tu średnia.

Kombinat i miasto — to dwa zjednoczone organizmy. Miasto leży w kothnie, rozlewając się szeroko na wschód i zachód. Kombinatu rozprzestrzenił się na wzgórzach, panuje więc niejako nad nadwzłaskim krajobrazem. Olibrzynnie kombinatu i plece, nagerzenie Cowpera i wielkie bacie koleoswiece obdarowuje miasto wieżami i masami, w dzieł zaś gdy wiarł więcej od strony Kombinatu — nad miasto przylatują ciężkie chmury dymu. Ale to trwa zwykle bardzo krótko, wiatry na ogół oszczędzają miasto i dymy odlatują daleko, w stronę Mogiły i Wisły, po której su- na nieprzerwanie bari.

Czytelnik wie już, że w Kombinacie im. Lenina zbudowano niedawno wielką walcownicę blachy na zimno. Blacha walcowana na zimno — to blacha karoseryjna, lodowkowa, jednym słowem przeznaczona do produkcji tych własnie przedmiotów ewilizacji, bez których coraz mniej ludzi wyobraza sobie życie. Związszca samo-choły i motocykle. Przeważnie przydaje taki czas, kiedy średnio zarabiający polski robotnik będzie sobie mógł zafundować popularyjny samochód. A na to właśnie uruchomiono tę walcownicę. Dosławy cackowicie radzieckie, pomnoe radzieckich inżynierów, którzy do dziś jeszcze mieszkała w jednym bloku, nazwanym przez mieszkańców NH „radzieckim”, podobnie jak nowy piękny gmach pomalowany w kolorytę pa-ty nazywała „zwiedzkim”, a inny znowu — nie wiadomo kto ochrzcił — „francuskim”. Na otwarciu walcowni zinned był obecni tow. Gomułka, Cyrankiewicz i Mikołaj. Było to wielkie wydarzenie w życiu polskiego przemysłu. Dziś już walcownia pracuje pełną parą i przyjemnie jest patrzeć, jak na walc stalowe narwia się z szybkością kilkunastu metrów na sekundę — tasma cienieli, potyskującej maitowu blachy, świetlenie nadajecei się do lakierowania...



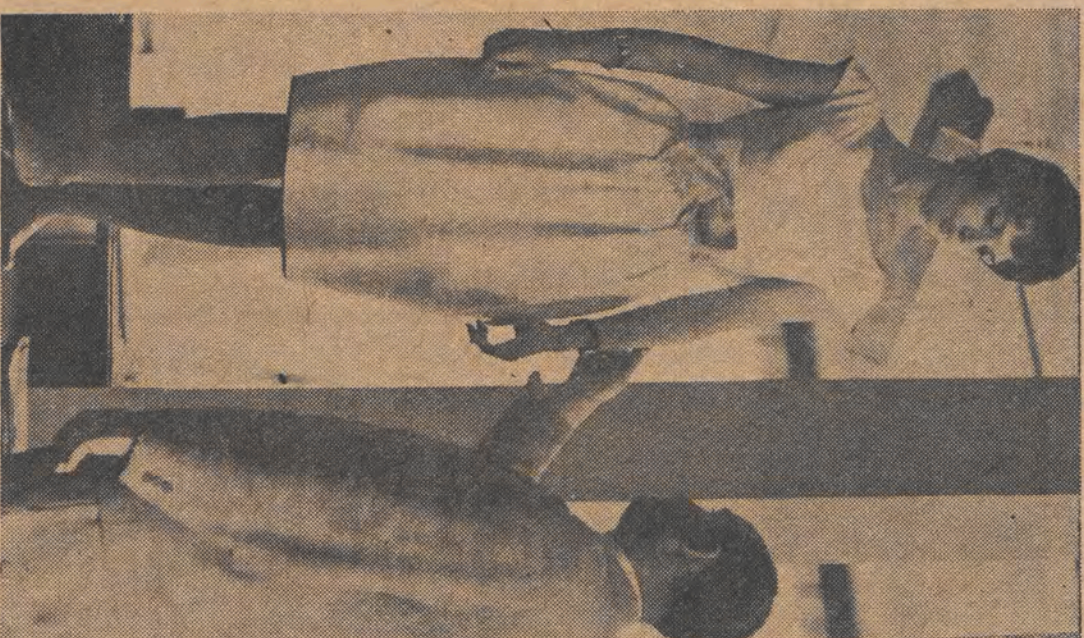
TADEUSZ MARTYNSKI

Zdjęcia A. M.

Czy Łódź Wyprowadzi Paryż??

Przygodni i nieprzygodni turyści powiadają, że w Łodzi sporyka się najwięcej gustownie i modnie ubranych kobiet. Nawet Warszawa pod tym względem ma podobno ustępować naszemu miastu.

Stanąłem na skrzyżowaniu Piotrkowskiej i Narutowicza i obserwowałem przechodzące panie. Co wykarzała ta dorywcza szaryska? Na każde dziesięć przechodzących kobiet osiem było ubranych z widoczną dbałością o swój wygląd zewnętrzny. Z tej ósemki przynajmniej cztery lub pięć pan odznaczało się wybitną elegancją. Poworzyłem swoje obserwacje na Rzeczowskiej, Wólczaniskiej, Pabianickiej. Interesowało mnie zagadnienie modeli odzież produkowanej systemem fabrycznym. Pamiętam wzory ubrań rzucane na rynek w pierwszych latach po wojnie. Pamiętam ryżącą szpetotę przechodzących w tamtych latach w powietrzu z zagranicznymi. Dziś wygląd estetyczny naszej odzieży podniósł się znacząco, ale często ulegając starym nawykom, które co ładnie przypisywały zagran-



biornu, musi się liczyć z tym naciskiem „oddolnym”. Wynikałoby z tego, że nasze, łódzkie Laboratorium, które opracowuje modele odzieżowe dla całej Polski, musi w jakiejś mierze naśladować wzory paryskie lub rzymskie. I tak i nie. Współczesny świat jest tak utrudzony, że — chcąc nie chcąc — musimy śledzić uważnie osiągnięcia zagraniczne, tym bardziej, że należymy do o-kreślonej wspólnoty kultu-ralnej, europejskiej. Ale nie oznacza to, że nasi plasycy i inżynierowie nie szukają własnego stylu, najbardziej odpowiedzialnego naszym potrzebom i naszym możliwościom. Jeśli teraz czytamy, że nasze łódzkie kolekcje pokazały odzież opartą w pewnym stopniu na koncepcjach Empiru, Dyrektoriatu, Kon-sultu i Restauracji (długie szarfy, wysoka talia, gola szwila w sukniach itp., pikantne szeregółki) to fakt, ten nie oznacza mechanicznej a-

donrzązym (z paragrafu o chuligaństwie), to jednak ro-snie liczba pjaków czy pja-sniemiem niedawnego pospo-lmu życia i porzykiwania krów na tej ziemi. Ba, proszę państwa, krowy jeszcze zeszłego lata pasły się przed oknami domu, w którym mieszkam — na olbrzymim placu, dziś już zabudowywanym. Stanie tu ratusz i chyba ogromna bi-blioteka. Tak mówiła pani-scel. Dzieci, których w Nowej Hucie jest kilkanaście tysię-cy (ponad 12 tys. urodoło się już w tym mieście!) bawią się na skwerach między blo-kami, i na placach rozozna-nych przez budleżery, kopiąc dołki i wznosząc swoje piaskowe budowle.

Dzieci, dzieci. Nież wżras-ku czynią i jakie są pomysły-łowe! Uczą się w jasnych szkółkach, bawią w pięknych parkietowych przedszkolach, dla nich są domy kultury, o-estnska plastyczne i muzyce-nie, szkola rytmiki i tańca. Dzieci nowohuckie to kadra przyszłych Czarnieckich (ko-larz). Co drugie ma rowerek i pedza na nich jak opęta-ne po szerokiach chodnikach, ze zwinnością jaszczurek przemnykając pominięz lioz-rymi przechodnikami. Ale dzieci są także dość jeszcze często świadkami rodzimych burd, wódka nie jest w tym mieście napojem pogardza-ny. Jakkowiek dość wy-nie spódnia chuligańskich powa-że nie spódnia, są powiatowy o-słabio nie miał zbytnich po-wodów do sądzienia w trybie

zawsze to księżniczki, czar-dasze, panie habro i pic-Huta, mój Boże, przecież gdybym chciał o wszystkim, to by całych „odgłosów” nie starałoby, a wiele jeszcze rze-cy ciekawych dałoby się tu dopowiadać. Bo ja właśnie chciałem opowiadać, tak jak bym w skrócie chciał md-wić znajomym o moim ży-ciu w tym słynnym mieście. Najle-kiej jest przyjechać tu, po-szwędać się, wsiąść w 15 i ruszyć długookłonną trasa-wą, wzdłuż Kombinatu, zwła-szcza wieczorem, gdy na Wielkich Płocach i Kombach i Walcowni i Koksocemni zajasnieją czerwone lam-py, gdy następuje spust piędów albo wywołanie roz-palonego koku z baweli — wtedy niskie chmury odbija-ją te kolorowe promienie i jest bardzo przyjemowo i pięknie. Nowohucy fotogra-fują, którzy tu jest już wielu — łapia te krąjbrzy-robłą potem piękne wystawy. Huta jest bowiem bardzo piękna, mimo swoich Płaców Centralnych i mimo socreali-stycznych kłopsów budowlan-nych. Jestem pewien, że lu-dzie tutaj, kiedy się z sobą zżyją i dotrą, będą stanowili w przyszłości zupełnie nowe społeczeństwo, być może bar-dzo już bliskie temu, co so-cjalizm wyobrażamy pod poj-ciem „socialistyczne”.

BOHDAN DROZDOWSKI

Wielki wozownicę prze-myślni odzieżowego wykonu-ją rocznie około 2,5 tysiąca modeli. W tym Centralne Laboratorium Odzieżowe w Łodzi projektuje przeszło 1000 modeli. Jest to jedyne Laboratorium w Polsce.

Komfortki wzorujące prze-myślni odzieżowego wykonu-ją rocznie około 2,5 tysiąca modeli. W tym Centralne Laboratorium Odzieżowe w Łodzi projektuje przeszło 1000 modeli. Jest to jedyne Laboratorium w Polsce.



Cóż wiesz o moim życiu? Ja o nim nie wiem.
Cóż o miłości wiesz, mój Barleycornie?
O śmierci cóż? Jak w wierszu nigdy się nie dowiesz, choć razem z tobą co dzień przechodzą jako mnie.

Boje się spojrzeć w oczy każdej z nich z osobna, chociaż za mną jak panny po gwałtownym niebie, pierwsza w swatach Von Gogha, a druga żalobna jak Szopen. Są ludzie podobne do siebie.

I gdybyś mnie zapytał, która z nich wybiore, cóż odpowiedzieć ci mój przyjaźniły? Miłość i śmierć jednaka. Przechodzi nie w porę, choć Kocham je jak ciebie. Jak wiew, jak wiew.

XXXXVIII

Tańczą za oknem smukle panny
wiotkie w jodeł sebrne futra,
a noc ubrana w czerni sutanny
mija zwiasztując gorzyc jutra.

I świat mię zbudził niespodzianie
trzępocąc śnieżnym skrzydłem w szyby,
Barleycorn przyszedł na śniadanie
milczący, smutny tak jak nigdy.

Na miasto wyszliśmy, na wino
z tańczącym korowodem panien
i wodospadem nam upłynął
szumnie i mrocznie, niespodzianie,

ostatni dzień karnawałowy
jak dzień ostatni ucznia w szkole,
W pełzaku mroźnym i zimowym
spływa młotnym dzieł po czole...



SEN

To była noc gwałtowna i przepaśna,
korony drzew jak muszle rozsypały,
zdawało się, że nocą tej nie zasną,
w młoczącym leśu przetrwam — podskokiem oniamiały.

I miałem sen. Dawne znajome strony,
aleja starych dębów, stawy i kścieżce łąsy,
ten sam krzyż na rozstajach ku ziemi pochylony,
smak wiatru, zapach wiatrów. Poznaje. Toż to Ciszy.

Nagle widać Judytna. Po grobli się błąka
jak zwierzę przez myśliwych oszalone włosną,
Wiem, że musi go palić z Joasia rozlana
siłniet, niżli rok temu „pod rozdarta sosną”.

Gdy zobaczył mnie, skręcił w bok, w stronę czworaków,
bledny ciski Don Kichot przygnany tęsknotą
jak wiatr, jak on bezradny wśród skrzydeł wiatraków,
człowiek co smutne życie swe przeszedł piechotą.

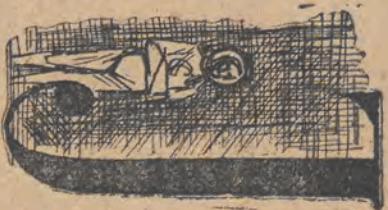
Dochodził do dworu. Z okien bity światła,
w stronę grobli wysmukłej kobiety cien spieszyl
i sen jak własne życie tu mi się poematował
i nie wiem czy zgrzeszyłem ja, czy Tomasz zgrzeszył.

Zakutka kulką. Otworzyłem okno.
Pachniało światem. Okna kobiet, Jedofornem.
Josi i Judytna ni śladu. Wyszędem
I... spotkałem się znów z Barleycornem.

WACŁAW MROZOWSKI

(z cyklu „Z Johnem Barleycornem”)





— wam? —
ze edumaniem
odezwał się Nort.
— Przecież nie
jestem kapita-
nem. Przy tym
jestem najmniej-
szy wśród was.
— O to dłużej
go musisz być
starszym — zde-
cydowanie za-
grztał Wayty.
— Ty jesteś naj-
młodszy i naj-
dzielniejszy. Ja
mam jedną rękę,
Connor jest cyklotronowicem, Hansen
— nawigatorem. Dorak ma kłępski
wzrost.

— Pozostali odezwali się aprobującym
chorem. Nort zmarszczył brwi.
— Dobrze, ale niech będą przekleły,
jeśli czuje się na swoim miejscu, wy-
dając wam rozkazy.

Szybko rozdzielił polecenia:

— Dorak, pójdziesz z Alina i dostar-
czysz samochód z prowiantem do stoczni
na dwudziestą trzecią. Hansen, zacy-
naj obliczeń nasz wstępny kurs we-
dług C-krzywej na Uran. Connor,
przedostań się do stoczni i zobacz, co
się dzieje wokół „Metora”. My z Way-
ty będziemy tam punktualnie o dwu-
dziestej drugiej!...

Gdy rozblegli się, stary Peters pod-
jechał na swoim fotelu i zapytał z
przerazeniem w głosie:

— Czyś ty o nas ze Stennym nie za-
pomiał, Johnny? Czyżbyście chcieli nas
tutaj pozostawić?

— Tak trzeba — poważnie odrzekł
Nort. — Sam chyba zdajesz sobie spra-
wę z tego, że jesteś zbyt stary dla Jo-
hna i kosmicznych, Peters. Przyspiesze-
nia przy startach mogą cię zabić.

Stary astronauta przyjął tę wiad-
mość spokojnie, niż Nort spodziewał
się i razem ze Stennym przyglądał się
w ciągu kilku następných godzin, jak
Nort i Wayty gorączkowo pomagali
Hansenowi w obliczeniu kursu na
Uran.

Nort zatrzymał się w cieniu wieży w
pobliżu bramy zapasowej stoczni Kom-
panii.
Wartownik, barczysty człowiek w
szarym uniformie kompanii, bacznie
przyglądał mu się poprzez stalowe prze-
ły bramy.
— Mistrze Sydney przysłał mnie po
zestawienie, które tutaj zostawił —
niefrasobliwie powiedział Nort. — Pro-
szę otworzyć!

Wahając się, wartownik otworzył
bramę.
— Niech pan pokaże teraz, gdzie jest
ten statek „Meteor” — poprosił Nort.
— Sydney zostawił tam papiery.

Wartownik odwrócił się, aby poka-
zać. — Tam... — powiedział, zochwiał
się i upadł. To piśnię Nort'a trafiła go w
szczękę, Nort cicho gwizdał Connor,
Wayty i Hansen przemknęli przez bra-
mę. Szybko zwiłazali wartownika, za-
tkali mu usta, a następnie w kierunku
zaczęli się posuwać w kierunku bra-
my. Drugi wartownik został równie
bykskawicznie unieszkodliwiony.

— Płhnuj głowęj bramy, Wayty —
rozkazał Nort. — My z Connorem
idziemy po paliwo i tlen.
Dostajesz do „Metora” Nort zaczął
poszukiwać przewodów paliwa, tlenu i
wody. Wiedział, że powinny być gdzieś
w pobliżu doku. Wreszcie znalazł trzy
grube rurociągi błęsnące od podziem-
nych zbiorników z drugiej strony sto-
czni.

Razem z Connorem, po omacku po-
łączyli elastyczne rury z wpustowymi
nasadkami w kadłubie rakiety.
— Idź teraz do magazynu i włącz
pompy — powiedział koleżka, ciężko
dyszac. — Będę uważał na zegary i
nanometr i podam ci dwa błyski, gdy
zbiorniki napełnią się.
Connor pobiegł. Wkrótce Nort posły-
szal głuchy szum pomp. Po kilku se-
kundach w nurach prowadzących do
„Metora” rozległ się szmer.
Jedną rurą do zbiorników rakiety
wypływała sproszkowana miękk, płynny
tlen dla ludzi i cyklotronów płynął pod

żadni kosmopolity trzymeli niebiesko-
białymi promieniami.
— Do środka! — krzyknął Nort. —
Policja Kompanii będzie tutaj za dwie
minuty!

Już ryczały syreny. Z dala słychać
było warunki samochodów i motocykli
pedałujących do stoczni. Błękitne pro-
mienienie oslepiły astronautów.
— Connor do cyklotronów! — roz-
legł się głos Nort'a. — Hansen, włącz
drzwi! Pozostali na hamakii!

Wpadł do kabiny nawigacyjnej i
chwycił za wyłącznik. Trysnęło świa-
tło z zacięzionych lamp i oświetliło
siód rozdzieleny pokazy cyfrowymi
zegarów i kółkami, zaopatrzony w
dźwignie i pedały.
Ręce Nort'a z gorączkową szybkością
rozplątywały sznurówkę fotela pilota.
Olbrymi Wayty sadowit się w sąsied-
nim fotelu. Za zgrzytem hermetycznego
właziu, nastąpił szereg wybuchów do-
dobywch do grzmotów, wstrząsających
kadłubem starego statku. Connor włą-
czył cyklotrony.
Ręce Nort'a zacisnęły się na dźwignie

startowej. Jednym szarpnięciem przesła-
nąwszy ją naprzód, w położenie stro-
kowe, włączył stateczniki boczne ra-
kiety.

W iluminatorze zobaczył z pół tuzi-
na samochodów rakietowych pedala-
jących w ich stronę przez pola startowe.
Z samochodów wyskakowali ubojowi
ludzie.

Nort nieoczekiwanie poczuł lodowa-
ty spokój. Przemówiło dwadziestcia lat
Johannego doświadczenia. Utrzymując
startową dźwignię dokładnie w centrum,
nachylił na pedał cyklotronu i przela-
czył sterowanie na automaty.

Skrzyżowały elastyczne sprężyny fo-
tela; przyspieszenie rzuciło na nie u-
dziesiątkoobrotowymi ciężar gała Nort'a.
Gigantyczne stalowe ręce zacisnęły się
na jego piersi, odbierając oddych. W
głowie zahuczało, oczy przesłoniła czer-
wona mgła.

Lecz zdążył dojrzeć, że światła, do-
starczyli jak zaczarowani. Nie-
do z gwiazdami zakrysało się w ilumi-

ciśnieniem drugą turę, woda wpywała
przez trzecią.

Skurczony w fotelu pilota wewnątrz
niedużej kabiny, Nort bacznie obser-
wował wskaźniki, posikujące się lata-
ką wartownika.

Przyrządy wskazywały wreszcie, że zbior-
niki „Metora” są pełne. Stuk pomp u-
stał. Nort rozkazał nasały, gdy pod-
blegli do niego Connor.

Za plecami Irlandczyka wyrnużył się
z mroku nieduży samochód ciężarowy
ze zgąszczonymi światłami. Alina i Do-
rak szybko wyskoczyli z niego, a za ni-
mi pojawił się Hansen i Wayty.

Twarz Aliny wydawała się białą pla-
mą na tle mroku, tak była biała, lecz
głos jej drżał z zachwytu, gdy oświad-
czyła Nortowi:

— Czek za statek zostawiam w kie-
szeni związanego wartownika. Pro-
wiant jest przywieziony.

— Chodźmy, wniesiemy go — rozka-
zał Nort. — Connor, idź do cyklotro-
nów i włącz inektory.

Sposzając się i potykając w wąskich
korytarzach, ladowali plastikie strzyżnie
ze skontrolowaną żywotnością, gdy roz-
legł się głos ostrzegawczy szepli Ali-
ny. Nort wyskoczył w ciemność. Posły-
szal cichy skrzyk kół, a następnie ciszę
przeciął cieniem głosu:

— Czy jesteście gotowi do startu,
Johnny?

— Świecie komety, to przecież Pe-
ters? — jęknął Wayty. — Jak on tutaj
trafił?

Zagadka wyjaśniła się niebawem.
Fotel starego inwalidy popychał Stenny.
Nort zaszycał.

— Musiele wracać, Peters! Nie mo-
żemy lecieć ze Stennym...!

— A właśnie, że polecimy! — pisał
przenikliwie stary pilot. — Nie odbie-
rzecie mi ostatniej szansy ponownego
trafienia w przesterżen. Poleć, lub na-
ychmiasz zacząć wrzeszczeć na całe
gardło.

— Będziemy musieli wypuścić ich,
Johnny — zacięzał Wayty. — Stary dia-
bel obudził cały port.

— Niech będzie, bierz ich do środka
— beznadnie rzucił Nort.

Nagle zadźwali. Gdzieś w pobliżu prze-
żalwale uderzył dźwięn alarmowy.
Za chwili duże reflektory na wie-

natorem od wnętrzaów rwącego do góry
„Metora”.

Nort przełożył dźwignię nieco do ty-
tu i w dalszym ciągu naciskał pedał
cyklotronu. Szumienie zjonizowanej
materii pchały stary krążownik do
góry.

Promienie portu kosmicznego wyda-
wały się mikroskopijną plamką czer-
wono-zieloną na ciemnej kuli w dole.
Nort wybuchnął śmiechem.

— Dobry staniu! Znakońcicie wym-
knęliśmy się im, Wayty! — Dusza jego
spiewała razem z cyklotronami, ciężka
praca astronauty była jedynym szczę-
ściem, które znał.

Niechętnie zwołał nacisk na pedał.
Podobne do grzmotów wybuchy cyklo-
tronów przesyły w równe huczenie.
Tak huczący cyklotronami i wyłąc dy-
szami wyłotowymi, stary statek mknął
w kierunku dalekiej, zielonej iskiertki —
planety Uran.

Do kabiny nawigacyjnej weszła nie-
spodziewanie Alina Louvelle, biała
i wstrząśnięta. Nort w tej chwili usłwia-
domił sobie, że był to jej pierwszy lot
w przesterżen kosmicznym.

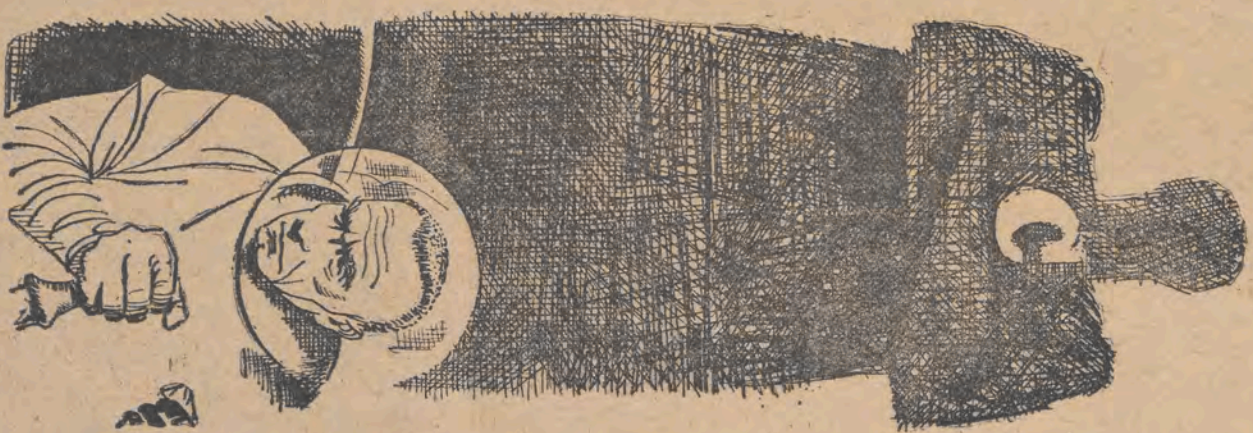
— Pani jest chora! — krzyknął prze-
straszony. — Powinien byłam pomyśleć
o tym. Ale startować trzeba było bar-
dzo szybko...!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, jestem zdrowa. Lecz stary
Peters... jest ranny, John. Uderzenie...!
Nort pospiesznie wezwał Doraka i
przekazał mu dźwignie. Razem z Way-
ty przeszedł po chwilejnym mostku do
kabiny.
Oczy Petersa były zamknięte, twarz
sina, z kątów ust spływała cienka, czer-
wona smużka.
— Jest nieprzytomny — szepnął Nort
po zbadaaniu starego astronauty. — Uprze-
działem go, że nie wyrzyna przyspie-
szania.

Na białej twarzy Aliny malowało
się pytanie.
— Nie będzie żyć — powoli odrzekł
Nort. — Kwesła kilku godzin.
Statek zbliżał się do orbity Marsa.
Nort ustalił dźwigny i przejechał krzywą
obliczoną przez Hansena.

— Omalibyśmy Justitera z dala, aby u-
niknąć głównych szlaków kosmicznych



— powiedział do towarzyszy. — Kom-
pania wysła krążownik policyjny, to
jest pewne. Lecz nie zdążyła spenetro-
wać całej przesterżeni.

Wayty przytaknął powściągliwie.

— Możemy dojść do Uranu, jeśli ta
szluzka będzie tykać. Ale jeśli cokol-
wiek nam się zdarzy z dala od głów-
nych szlaków...!

Kończyć nie było potrzeba. Wszyscy
wiedzieli, że wówczas przerażeniem
ich będzie powolna śmierć z głodu lub
braku powietrza.

Przed oddaniem dźwigni sterowania
Hansenowi Nort uważnie przyglądał się
Uranowi. Zielona iskra stała się wielk-
szą i jaśniejszą. Księżyc jego teszce
były niewidoczne nie ubrojonym o-
kiem.

Nort ciągle nie mógł uwierzyć w rze-
czywistość tej dziwnej podróży — Joh-
na, straszny Księżyc Gromowy w po-
szkwanianym lewitum, którego istnienie
uważane jest za czczą fantazję!

— John, Peters powraca do światła —
mógł — zawołała go Alina.

Nort wraz z kolegami pośpieszył do
jego kabiny. Stary weteran otworzył
wyblakłe, niebieskie oczy. Spojrzenie
jego zatrzymało się na iluminatorze, za
którym wisiła czarna puska ułkana
nie migającymi gwiazdami. Wyraz trium-
fu i szczęścia odbił się w jego oczach.
Po chwili zamknął je ponownie.

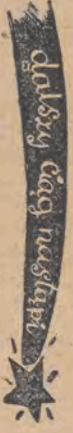
— Zasnął — szepnęła Alina z nadzie-
ją w głosie. — Być może...!

Nort Jagodnym ruchem przewrzał jej
Odwrociwszy się, cicho powiedział do
Connora.

— Zawiń go, Mike. Zostanie gocho-
wany w Kosmosie.

W KSIĘŻYCOWYM MIESIĄCU

John Nort nie był na Uranie już czte-
ry lata. Z głębokim wzruszeniem obser-
wował jak wielka, zielona kula plane-
ty rośnie na niebie.



„Dobry dzień wszystkim”



ZAKINADA



I Łódź miała swoje święte młodzieży — Zakinade. Obeszło się wprawdzie bez szokujących „wyspódów”, jak to czasami zdarza się starszym, ale nie tylko dlatego, że deszcz przeszkodził... Mielł tu coś do powiedzenia organizatorzy, potem był konkurs, potem konkurs, potem konkurs... W przyszłym roku będzie lepiej.

Foto — W. Krasaka



KONTREDANS na najstarszym szczelbu

(Dokończenie ze str. 3)

Przed dziesięć dniami Adenauer po burliwym starciu w frakcji CDU oznajmił swą decyzję. I znowu szok. Adenauer podejmując swą decyzję nie liczył się z niezmiernym Wykpił Erharda, Gensteinmayer — przewodniczący Bundestagu — obratony przez Adenauera wyskoczył czerwony jak burak z sali posiedzeń... Frakcja parlamentarna zaprobowała decyzję kanclerza.

W 24 numerze tygodnika „Spiegel” publicysta Jens Daniel pisze: „Historia kandydatury Adenauera na prezydenta jest jednym w swoim rodzaju aktem białego z dziełcinienia, który rozegrał się na oczach wszystkich. Jeżeli deputowani do Bundestagu nie ogłoszą konstytucyjnego wotum nieufności wobec żądanego wiadzy staro pana i nie zmuszą go w ten sposób do dymisji to działać będą znowu... na szkodę Republiki Federalnej...”

Problem starszej sklerozy jest u nas nowy, ale problem ubywatelnienia koronowanej głowy był w ciągu ostatnich stułecia wystarczająco częsty.”

Deputowani do Bundestagu nie ogłosili konstytucyjnego wotum nieufności. Erhard przyjechał ze Słanów Zjednoczonych i też nie zażądał rekompensaty za obelżywe słowa kanclerza. „Neue Rhein Zeitung” pisze o tym: „Szczelina partii rządzącej nie została przez (poledhanie Adenauera z Erhardem) zalepiona. Szczelina ta nie da się zailepić. Adenauer dawał Erhardowi najpierw cieżki oskarżeń, wozorał zaofiarokująca — ani Erhard, ani Eizel, tylko Adenauer będzie siedział nadal w kancelarii dla niego bezsensowne...”

wyspować we frakcji przezwikto kanclerzowi, kiedy... Adenauer zwiłzał większość frakcji tak jak mołyna tylko wiązać krolikie!”

Jak donosi prasa deputowani FDP Stammberger, który jest przewodniczącym komisji zdrowia w Bundestagu zabawał po sesji swych kolegów dowcipem, iż „Adenauerowi należy się tytuł doktorski na polu medycyny. Wyjał on bowiem kregosłupy 270 postom CDU nie przelewałac przy tym ani jednej kropli krwi!”

Jeżeli już jesteśmy przy cytatkach to chyba warto zacytować artykuł redaktora na naczelnego „Frankfurter Rundschau” Karla Gerolda, który pisze: „Zawsze i ciągle zwracaliśmy uwagę na niebezpieczeństwo dla Adenauera jako postach Fihnera w naszej, tak ciężsto cytowanej „młodoci demokracji”. W naszej krytyce kursu politycznego partii rządzącej od dawna dawałiśmy wyraz obawie, iż CDU wreszta w stadium, w którym nie rządzi już kanclerz przy „omcey metod demokracji”, którego osobiste postanowienia są bezwartunkowo miodrodadne dla tej partii i narodu”.

Adenauer tym razem zwyciężył. Ale jest to chyba zwycięstwo pyrrusowe, albowiem dla nikogo nie jest tajemnicą, że zwycięstwo to i w ogóle cały ostatni kontredans staroego kanclerza nadwyrężyło, i to mocno, jego prestiż. I chyba, jeszcze mocniej nadwyrężyło mł o klasycznej, bolskiej „demokracji”.

JACER LEBEN

Jeżeli chcesz zjeść smaczny obiad zdolny zadowolić najwytrawniejszego smakosza, masz do wyboru restauracje:

- ŚRODMIEJSKA — Piotrkowska 79
- PODHALANSKA — Piotrkowska 29
- SMAROSZ — 22 Lipca 2
- ARTYSTYCZNA — Piotrkowska 19
- SWIT — Piotrkowska 129
- LOTNICA — Pabianicka 169 (z ogródkiem)

Jeżeli chcesz zjeść smacznie i bardzo szybko odwiedź bary samoobsługowe:

- BANKOWY — Piotrkowska 63
- TARGOWY — Zielona 23
- POD SÓPŁICĄ — Piotrkowska 163

Jeśli przy dobrej kolacji chcesz się zabawić czekają na ciebie lokale dancynkowe:

- CASANOVA — Zachodnia 87
- ARKADIA — Jakuba 10 (z ogródkiem)
- SIM — Obr. Stalina 2

Będącym na diecie polecamy posiłki w nocno-włoskiej restauracji:

- Jadłodajni DIETETYCZNEJ przy ul. Zielonej 57

- Smakosz Flaków i golonki zaprasza BAR RATUŠZOWY — Piotrkowska 105



Redakcja Zeszytów: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86. Tel. 344-79 :: Warunki prenumeracji: miesięcznie 4-21 kwartałnie 12-21 :: Redakcja nie zamierza wycenian rekompensować nie zwraca :: Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” :: Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirca 11 Zam. 1868. VI. S-3.

Wysokiej jakości
bieliznę damską,
męską i młodzieżową z jedwabiu i stealonu oraz rękawiczki

Produkują

Zakłady Przemysłu Dzielwarskiego
im. Mariana Kasprzaka

w Łodzi Al. 1 Maja 31/33
tel. 334-80





Nowy cykl Bosca: bracia Cloupe

Kiedy przeszło rok temu turzyści stali się podjęcie naurowalishny przegląd gatunku historyjki obrzako- „najostrejszych” Bosca realizuje obecnie świata — sławny humorysta Francuski Bose znany był w Polsce wyjątkiem ja- sta Francuski Bose znany był w Polsce wyjątkiem ja- ko autor świetnych żartów o wojsku i żołnierzach. By- ty to dowcipy — jak wów- czas zwracaniem uwagę — nie pozabawione pewnej ito- ni, ba, czasem nawet wy- raźnej złośliwości.

Od tego czasu sporo się jednak zmieniło u tego ka- rykaturowy. Bose sięga te- raz coraz rzadziej do a- negatów wojskowych. By- może, uznał ten temat za wyeksploatowany, ostatecz- nie narysowanie ponad ty- sięcia dowcipów o żołnie- rzach i tak świadczy o nie- bywałej pomysłowości. — W żartach Bosca polawili się cywile, lecz ich perypetie są równie śmieszne, co przygody umundurowanych. Ostatnim „nowym” twór- czości francuskiego karyka- turysty

Międzajdy

pod redakcją JANA HUSZCZY

Jednodniówka
marwo urodzona

Jednodniówki są tradycyjną, acz nie najszybszą formą działalności społecznej. Kto sięgnie po jednodniówkę? Zwiastująca, jeżeli jest wydana neutralną i swoim wyśladem przypomina urzędowy biuletyn? Zwiastująca, jeżeli niektóre teksty powstają w kręgu Muzy Drogowej? Podobna jednodniówkę wy- dał właśnie z okazji Międz- narodowego Dnia Dziełca Woj- Zarząd Tow. Przyjaciół Dzie- ci.

Niektóre teksty — znajdujące się w jednodniówce — je- dnej zapewne dotarłyby do a- dresata (adresatem są w tym wypadku dorosli) za pośred- nictwem prasy i radia lub te- lewizji. Hasła, które uwzględ- nia jednodniówka, skuteczniej zastąpiły ustamiomione w czu- się spótkan dyskusyjnych z rodzakami... A pamiętając, wy- dane na jednodniówkę, jeżeli byłoby przeznaczyc na dobre imprezy artystyczne — litera- kie dla dzieci ze wsi lub mi- steczki! Takich imprez, nie- sęty, niewiele daloby się za- nowaci!

Kłapi Kłapi

Zwoliła się w Łodzi — z czego się cieszymy — jeszcze jedna grupa poetycka. Tym razem pod nazwą „KŁAP” co ma oznaczać: „Klub Iddkich aktywistów poezji”. Grupa zerzała poroc poetów, gnie- jących właściwego wyrazu dla nowożytności. Prosimy bar- dzo! Niepokoi nas jedynie na- zwu, która nie świadczy o po- czuciu języka polskiego, po- dobnie jak i wiele „nowoży- snych” wierszy.

Oburzenie

„Trybuna Likieracka” z 7.VI, odpowiedział jednemu ze swych korespondentów:
W pełni podzielamy Wasze oburzenie. Za spółkowanie 16-letniej dziewczynki — i to rodowitej opolanki — która odmówiła zaproszenia do tańca, funkcjonariusz państwowy na kierowniczym stanowisku powinien ponieść surowa ka- rę administracyjną i parkijną. A gdyby nie odpowiedział opo- lanka, to co? Taryfa ulgowa?

Przypowieść o urlopie

W jednym z naszych urzę- dów prawie połowa pracowników wyjechała na urlop. Ku zdziwieniu naczelnika, urząd nie tylko sobie bez nich poradził, ale nawet zaczął sprawnie funkcjonować i za- równo interesantów.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

- POZIOMO — 1) Miś, 6) Wzór danego przedmiotu, wy- konany w mniejszych rozmiarach z materiałów zastępczych, 7) Drapieżnik z rodziny ko- łow, 9) Drogowany mineral, 11) Nauka badająca zjawiska sferywania i automatycznego informowania, 12) Zdobnie, imię męskie, 14) Nąpój, 15) Nadmorska miejscowość wza- sowa, 16) Przewodnik, 17)wał. PIONOWO — 1) Nieporozna, nie posiadająca okazyjnie po- wierzchności, 2) Karta, 3) Np. „iskry”, 4) Wielka sala zebrani w wyższej uczelni, 5) Fałda zwrotna załomem ku załomowi drugiej fałdy, 6) Szafa, 6) krzesła itp., 10) Chocoba, 13) Zwiężę filiterko- we, 14) Sędzia mahometancki, TERMIN NADSYLANIA

Z powodu nieznamomei

Od dawna smutka znam z widzenia: przez park, jak ja, powraca nierz. A twarz jej śniada lok ocenia, jak ples, wiatr o nią się odiera.

Gdy ja — idąc — widzę z dala, to tyle dla niej mam przyjaźni, jej widok bowiem mi pozwala na grę swobodną wyobraźni...

I marzę wtedy: „Ona z zalei samych się składa, nie w niej złość...”

Marzenie lubiące, nie chce wanie zwierteć bliźszej znajomości! O sobie wiem, mam wiele wad ja, lecz może ona także marzi. Po jej stronie ma sympatię, niez stodoły w jego twarzą...”

Przegląd prasy

„Szopka” 9 tygodnik saty- tyczny, w którym m. in. ryso- wał znakomicie Kazimierz Grus... (O Grusie — mówiąc na marginesie — nie znalazli- śmy nawet jednoznacznej wzmianki w niedawnym wyda- niu Encyklopedii Powszech- nej).

W jednym z numerów „Szop- ki” z 1923 roku — pisma skat- lina — znajdujemy sympatyczne sformułowanie „myśli krowy o samochodzie jak nam wolno przypuszczać, myśli krowy na temat samochodów dotąd nie zmięły się dlatego niekie- re z nich przyjeżdżamy, gnie- szając jednocześnie konkurs na tostarzenie nam myśli sa- mochodów o krowach.

Samochody — są to wielkie bydlęta z oczami świecącymi w nocy.

Samochody nie potrafią żyć w przyjazni. Na drogach albo się mijają obojętnie, albo sie rzucają na siebie i drugocą.

Zdarza się, że samochód go- dzinami stoi na łące. Ale nigdy nie je trawy. W ogóle samo- chody same widocznie jeść nie potrafią, bo je ludzie zawsze muszą karmić.

Samochody nie biegają tak przedko jak się zdaje, jedna nogą, przyciętych samochód gonii bardzo długo po wąskiej drodze. Ryczał strasznie za złości, ale nie mógł za nią na- podać. Spokojnie wrócił do obory.

W ogóle samochody nie są bardzo odważne. Należymiej rzucają się na kury.

Tyle jest tak rozkosznych i pachnących, tyle świeżych cie- mnych sąjów, a samochody zawsze tylko biegają po dro- gach. Co za nieważliwe by- dła!

ROZWIĄZANIE — 2 TYGOD- NIE.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z Nr 20

POZIOMO — Krowo, do- khor, 1)łowiec, takt, sak, ka- wa, jamu, uran, straż, kura, kran, oda, alun, phamidon, czapka.

PIONOWO — kometa, sa- lata, kreska, ruczaj, sowa, klapa, salto, kurka, aniał, skrzat, angina, ramota, Anka- ra, duma.

Narodzi książkowe wyro- wiązanie krzyżówki w 1926- wali: 1. JULIAN BARTNICKI, Łódź, ul. Piotrkowska 56 m. 7, 2. FELIKS HARO, Łódź, ul. Narutowicza 32 m. 10.

PACAN czyli kibic na wyjeździe

ki Leyland pojechał z dwu- dziesiątą prędkością fanaty- ków do Bydgoszczy na mecz LKS-u. No i spazym się co pozwoilo mi wyćmągnąć tak zwane nauki na przyszłość. Cieknie to być doświadczona. Opowiem wszystko po kolei. Wierc najbardziej auto- karsowa jazda na podobni Byd- goszczy. Naszoi bojowcy we- sokości i różne gadki, jedna lewa wódka. We Wrocławiu pierwszy pasażer iunduje wszystkich kibiców. — Kto wygra — dyła redaktor „Ekspresu” jeden z kibiców i sam sobie odpowiada: — Bedzie orzeł, wygra LKS. Reszka — re- misznie, stanie zlotofrya na kant — wygra Bydgoszcz. Wyszedł orzeł. To ten kibic do mnie: — Musimy wygrać, o udział w pucharze Euro- chodni. I po chwili! — Panie, dany radę, siedziem na sta- domie w promadzie i doping. Allez!

Przytaknałem. A potem, już w czasie meczu, to widziałem jak ten kibic siedział na tr- bunie cichutko, skromnie i ni- jako. Ani nawet sobie mru- nał. Wyglądał załośnie. Nie pozwoili! Kibice tacy sami jak my: tyle że nie LKS-u a Polonii bydgoskiej. Oni byli u siebie, gospodarze, my na wy- jeździe — wjele gośce. Nie to wie to samo co odtędzimy u wia Bolka. Nic z przyslowia: „Gość w domu, nam w domu”. Miesowa brat kibicowska nie lubi podziwiać takich jak my gości. Oni dła za bilet wejścia na swój stadion. pramna widzieć na nim zwycięstwo swojej drużyny. domafaja sie tego, a tu jacobem jakiś obcy facet prac- nie wdrosł przez chwile. Jaka przetranset drużyny grającej u siebie i przy swojej publicz- ności. Na coś takiego ta pub-

liczność nie pozwoli. Nie do- czekanie. Wje: — Spokoi, baciencie. Lub: — Kto ma siozalić gola, kto te lodzkie kibicobly? Kpina, szyczenia zerzywa albo zgotła: — Cicho pan siedz, bo do domu nie trafisz. Wjele nie było żadnego todz- kiego „Allez”, nie było w na- szej dwuznaczności „mowych”. Byliśmy pod wozem, rewam zowano nam sie. W Bydgosz- cy zryła tacy sami ludzie jak w Warszawie. Gdańsku, Kra- kowie i w Łodzi. A w Łodzi grała kiedys jedenaśka „Ru- ch” ze Śląska. Na widowni między lodzianami usiadł sobie kibic kibic. Ruch strzeili bramkę, wjele ten kibic hurra. Raz jedyny. Ślaziacy strzeili jeszcze dwie, ale ten kibic zwolennik już milczał. Lo- dzianie też umiela taktemu obocemu coś nie coś dorzucić. Odczwał się ten Ślązak dopie- ro po meczu. Powiedział: — Szowiniści!

Słowo to wtedy poszło mi kolo uszu. Dopiero tam, w Bydgoszcz wyjechał w skórkę filozofa. Rozmniecie, Zaboli- własna porcja, docenicie, i ci- dardz bał. Kibic podczas oglą- dania widowiska jest w nim po nos znanym. Kibic, kome- tude głośno przebieg walki, je- rnie spracza się z sąsiedem, potwosuje i dopinuje, słowem nie milczy. To wszystko ma- we krwi, m u si to robić. Ten, co tego nie robi, pacanem jest nie zaś kibicem. Kibic na wy-

jeździe jest z przymusem pacanem. Takim do kwarantu- wtkonom i zniszczonym pa- canem. Ja nim byłem, wiele przy- tym przyswysowa melamorfiza kibica jest dla niego czysto- wa meczami. Cóż, panowie kibice, bracie tolerancji — wyrozumiałości i poszanowa- nia dla odmiennoci przeko- nania i pragnień. Nie ma tole- rancji pod dachami trybun. Jest bezmyślnie przecenianie tego co swoje, polkoczone z posarada do wszystkiego, co oboe. Tak było, jest i podobno długo jeszcze będzie. Powie- dział mi to sedziwy starzec, co to jeszcze pięćdziesiąt nowo- żytna olimpiadę pamięta. Sport, rzecz piękna i pożytecz- na, a płać się chce, że jego zwolennicy do siebie z tak psakodnymi uczuciami wys- kalcia — dodał ten mój sta- rze.

Może kiedys przyjdzie no- wv duch i między kibicami wszystko będzie cacy. Ale po- ki co, nie „targam” się więcej na zaden tam wyjazd. LKS-owi niewiele pomozę w ja- kims Radlinie czy Zabrzcu a pacanem jak bede tak bede. Jak proszę? Ze za mna, nie pójda inni? Niby ci, co to z LKS-em w każdej rejs. No, kibic im wyjazdy tektis bede. A my, kibice dresonali, prze- ciehni i z bozei jaski oranżien- my sie do jazdy tramwajem prowadzonym na stadion przy Al. Unii. Nie zazdrośmy tam- tym i okazyj im pochłanić. Toż to fanatcy. Może zreszta z tych wyjazdów inne przewoza dostawczozona, niż ja, eson- can i ekszozarostoch, od nie- dawna zaś plomtemy asia- tor tolerancji wśród kibiców i odmiennicy. ELKASIASIAK

1	2	3	4	5
6	6	6	6	6
8	8	8	8	8
9	9	9	9	9
10	10	10	10	10
11	11	11	11	11
12	12	12	12	12
13	13	13	13	13
14	14	14	14	14
15	15	15	15	15
16	16	16	16	16

Nasza krzyżówka



I SPRAWA TRENTA

Sprawa Wellesa

W Ostatniej sprawie Trenta" tytuł oryginalny: Trent's last case) występuje m. in. nie kto inny tylko Orson Welles, jeden z najciekawszych ludzi współczesnego filmu, fenomenalny (to słowo wcale tu nie jest za wielkiej) reżyser i równie doskonały aktor. Jest on specjalistą od grywania roli w miazgę, "czarnych" i w miarę zagadkowych, jak np. słynna rola policjanta w filmie „Dokniecie zła”. Ale w „Ostatniej sprawie Trenta” Wellesa prawie nie ma... Kolejną rolę w partach epizodycznych już po swojej filmowej (trzech jasna) smierci, by wyjaśnić zagadkę zabójstwa...

Welles gra amerykańskiego milionera Mandersona, małżonka pięknej Margaret Lockwood. Młodzi zostają znaleźni na terenie własnej posiadłości: jest martwy. Czyżby zabił go Marlowe, sekretarz milionera zakochany w jego żonie? Nie, nie odpowiedź na to pytanie. Niech dzielnikarz i detektyw — amator o nazwisku Trent — samodzielnie rozwiąże zagadkę i przedstawi ją naszym Czytelnikom. Każdy film z gatunku zwanego popularnie „kryminałem” (a naukowo: „filmem detektywistycznym”) jest tak długo dobry — do jakąd widownia jest dostatecznie podekscytowana. Tutaj Pamela Bowler (scenarzystka) i Herbert Wilcox (reżyser) zrobili wszystko, co było w ich mocy. Po co im przesadzać? Inna sprawa (już nie Trenta), że wyszedł ten film zbyt konwencjonalny, jeśli chcemy określić to dokładnie, a kto — gdy nie będziemy się zbyt przybliżać do słów — wach. Ale na dobrą sprawę wszyst-

Nawiasem mówiąc Orson Welles nie tylko lubi rolę czarnie i zagadkowe, ale także się w nich doskonale czuje. Pamiętamy go jako obywatela Kane'a (gdzie rola była nie tyle czarna, co zagadkowa) i z innych filmów (gdzie grywał rolę nie tyle zagadkową, co czarną). Prawdopodobnie zadowolony sam sobie także

role dobiera. Ciekawe: w filmie „Dokniecie zła” jego przyjaciółka, Marlena Dietrich pochyliła się nad nim i wkraczała w dziedzinę filmu psychologicznego — to jeszcze gorzej! Nie możemy więc pretensyjnie do niego. Ani co Konishi Zakupów, ani do reżysera ani do Wellesa wreszcie, choć się tu pokazuje tak mało. Pretensje może mieć tylko do samych siebie. Przede wszystkim za to, że posłaliśmy do kina, by tę „Ostatnią sprawę Trenta” zobaczyć, a potem dlatego, że tę samą „Sprawę” — obudaliśmy! — polecamy znajomym.

Słowem Welles gra w „Dokniecie zła” kanale, wielokrotnego mordercę, a Marlena mówi o prawdziwym człowieczeństwie. W tym paradoksie kryje się sens kreacji ekranowych Wellesa, twórcy opętrującego siarę i banalną prawdą: duża sztuka zaczyna się dopiero w granicach niedopowiedzenia.

„Ostatnia sprawa Trenta” nie dała powodów do takich komentarzy. Albo więc ten przypadek powtórza regułę, albo też — co również możliwe — fleja nam tylko spletał. Zasada uległa złepięciomowaniu. S. Koda.

Wieloletnia praca precyzyjnie kontynuuje studia nad pojęciem nazwanym „polską szkołą filmową”. Pojęciem — skądinąd — w wąskim, terminem z gatunku pu- stosłowia, za którym nie się nie ukrywa. Pewna ilość filmów i medali — to przecież dzieła wczorajszy. A dziś? Płacz i zębów zgrzytanie. Na EOL tużna Włchów — które można wymienić jako znajdujące się aktualnie w atelier (względnie czekające swojej kolejki, by się ukazać na ekranie) dwa — zdanem poinformowanych — jako tako się zapowiadają. Jeden jest najsłabszy, a drugi — pozostała trojka wcale się nie zapowiada. Gdyby dwa pierwsze były rzeczami z pogranicza rewelacji, to można by mówić o proporcjach wcale szerszych. Ale niestety, oba są dość przeciętne. A poza tym

Krajowa publicystyka filmowa precyzyjnie kontynuuje studia nad pojęciem nazwanym „polską szkołą filmową”. Pojęciem — skądinąd — w wąskim, terminem z gatunku pu- stosłowia, za którym nie się nie ukrywa. Pewna ilość filmów i medali — to przecież dzieła wczorajszy. A dziś? Płacz i zębów zgrzytanie. Na EOL tużna Włchów — które można wymienić jako znajdujące się aktualnie w atelier (względnie czekające swojej kolejki, by się ukazać na ekranie) dwa — zdanem poinformowanych — jako tako się zapowiadają. Jeden jest najsłabszy, a drugi — pozostała trojka wcale się nie zapowiada. Gdyby dwa pierwsze były rzeczami z pogranicza rewelacji, to można by mówić o proporcjach wcale szerszych. Ale niestety, oba są dość przeciętne. A poza tym

niewiele epokowe, przynależą do dnia wczorajszego i trudno na ich podstawie wnosić cokolwiek o bieżącej produkcji. Słowem mała, niezbyt miła, niespodzianka dla międzynarodowego towarzysza przyjaźni polskiej szkoły filmowej.

Swego czasu ogłoszono atrakcyjny (pod względem obiecujących nagród) konkurs na scenariusz o tematyce współczesnej. Należy do tradycji polskiej kinematografii, że konkurs ogłasza się wedy, gdy jest już zupełnie źle. I należy także do tradycji, że z zasady konkursy niegłoszą nie przyniosą. Obecny przykład jednak astronomiczna liczba wypracowań, obejmująca ponad zakres tematyki pełną listę perypetii naszego współczesnego życia. Trudno wyrokować co się z tego wyplnie, ale nie zapominajmy, że są to scenariusze pisane (czyżby) temu na przedwczoraj. I to ich szansa nie wznosić. Na przyszłość proponuję ustalić tryb pomocy wrodzi i ogłosić w regulaminie konkursowym, jakie tezy będą wymagane za rok, jaki gatunek filmu będzie najbardziej poszukiwany. Teraz np. znajdujemy się na etapie (teplem) komedii i eksperymentu, a w przededniu poszukiwań rzetelnego produktoryjnika z motatem. Oba bieguny tej akcji nie mają rzecz jasna nie wspólnego zarówno z troską o kontynuowanie obcej lini pt. „polska szkoła filmowa”, jako też z zabiegami mającymi wyprowadzić polskie kino na drogę produkcji komercyjnej. Jest to raczej szlachetny kompromis przy czym rezygnacja z komedii (przy jednoczesnym zachowaniu systemu tan- tiem) oznaczać może załazek powłoki, powstających na podłożu pewnych przedmiotów, dość sobie wzajem oczuwistych. Twórcy stałe się zainteresowany powodzeniem swego filmu na ekranie. Tylko zdążył się do tego przyzwyczaić (systemem tańchem ogłoszono niedawno) a już traci prawo do komedii, jako zbyt-

nie nadużywane. Przewidywanie, że ów twórca, w obliczu podanych okoliczności zaspędzie do produktoryjnika — zdaje się wyplwać ze zbyt przesadnie go optymizmem. Tu wynik jest wiadomy i bez pomocy wrodzi.

Typysemem krajowa publicystyka kontynuuje praca cownie studia. Lada dzień gotowa nawet ustalić sens terminu „polska szkoła filmowa”. Wbrew pozorom nie jest to zajęciem bezczynnym: dziełopisarsze

nie nadużywane. Przewidywanie, że ów twórca, w obliczu podanych okoliczności zaspędzie do produktoryjnika — zdaje się wyplwać ze zbyt przesadnie go optymizmem. Tu wynik jest wiadomy i bez pomocy wrodzi.

nie nadużywane. Przewidywanie, że ów twórca, w obliczu podanych okoliczności zaspędzie do produktoryjnika — zdaje się wyplwać ze zbyt przesadnie go optymizmem. Tu wynik jest wiadomy i bez pomocy wrodzi.

EDWARD ETLER 40 CHŁOPA NA UMRZYKKA NA SKRZYNI

To nieprawda, że sprawa „polskiej szkoły filmowej” zaczyna się i kończy na zagadnieniu tańchem, czy dobrej woli tego czy owego twórcy. Nawet niektórzy portret ze scenarzystami nie ma tu okazji do podgrzania swojej najważniejszej roli. Rola ma nie- dobry zbieg okoliczności: Polska przez zbyt długi okres czasu nie pokazywała nigdzie i nikomu filmu, który byłby nowy jak w swoim czasie „Kanał” i równie jak „Kanał” egzotyczny. A długi okres cza-

su — to nawet skromne pół roku. Pół roku niewie- becności na rynku! Zada potęga filmowa nie mo- gła by pozwolić sobie na taką nonszalancję! A co dopiero mówić o całym okrągłym roku? W Polsce poljece „szkoły filmowej” zaczyna się na „Kanał” a kończy na filmie „Popiół i diament”. Zagranicą „polska szkoła filmowa” to ów sam „Kanał” obok „Człowieka na torze”, „Dwaj cichości epaci” i „Dwoj- gu ludziach z szafą”. I na tym koniec, bo wbrew oczwistej logice, filmu „Popiół i diament” nie wy- stano do Cannes. Ot i wszystko.

Kłopot narodowy, czyli kryzys — rodzinnej szkoły filmowej, mógł być naszą prywatną tajemnicą. Przy- najmniej do następnego festiwalu w tymże Cannes, jeśli by w międzyczasie Borgia nie przyzwoliła skie- cić jakiejś ambihnej wizytówki. Przetrzymywanie „Po- piołu i diamentu” objawiało tę tajemnicę całemu światu i połowie Ameryki. Niedawno, ale już — jak się rzekło — historycz- ny sukces „polskiej szkoły filmowej” — był sukce-

